Nr. 8. Poznań, niedziela 23-go lutego 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: Piekary 6. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Nasz program.

II.

Zakończyliśmy nasz pierwszy artykuł twierdzeniem, że tylko na własną pomoc liczyć możemy — i to jest naszem hasłem. Nie myślimy sobie przypisywać pierwszeństwa w odkryciu tej prawdy. Od chwili trzeciego rozbioru kraju byli patryoci, były i kółka ludzi rozsądnych, którzy tę prawdę głosili. Po ostatnim naszym pogromie więcej, niż kiedykolwiek, zyskała ona na wziętości, a nawet ci, którzy w nią nie wierzyli, udawali chwilami, że wierzą, pod naciskiem opinii ludzi rozsądnych; ta prawda jednak nie przedostała się jeszcze w krew i soki naszego społeczeństwa. Powtarzać ją trzeba ciągle narodowi, nieposiadającemu dostatecznego zmysłu samozachowawczego, żeby sobie uświadomić grożące niebezpieczeństwo. My powinniśmy mieć jak mieszkańcy stepów i dobre ucho i dobry wzrok, wrażliwe na wszystko, co zagraża naszemu bytowi narodowemu, a tych właśnie zmysłów organizm nasz społeczny nie posiada. Jak kara Boska zjawiały się u nas od czasu do czasu kierunki polityczne, przeciwdziałające niestety rozwojowi tych zmysłów.

Wydawać się może niejednemu z czytelników powoływanie się na Czechów — banalnem; pomimo to sądzimy, że w kwestyi samopomocy narodowej jeszcze nie dość często powołujemy się na ich przykład. W Czechach zginęła szlachta, tak w boju, jak i pod mieczem kata; co z niej zostało, to garść plew, odłączona od zdrowego ziarna narodu. Jeżeli dziś tam widzimy synów chłopskich i mieszczańskich, broniących zębami swej narodowości, pochodzi to ztąd, że lud czeski w świadomości swego sieroctwa i opuszczenia przez świat, sam sobie jednemu zaufał w walce z naporem germańskim i w tych zapasach cichych, ale nigdy nieustających wyrobił w sobie iście hussycki hart duszy i niesłychaną siłę odporną. — Na takich cnotach nam zbywa, a jeżeli ich nie posiadamy, przyczyną tego jest to, że naród nasz pojony nie dającemi się ziścić nadziejami, stracił po części świadomość grozy położenia swego.

W ruchu ludowym, jaki się w ostatnich czasach u nas zaznaczył, widzimy zapowiedź zdrowszego kierunku politycznego. Już to samo, że chcąc przeciwważyć stronnictwu ugodowemu, stronnictwo ludowe wypisał ona swym sztandarze *„samopomoc“* narodową, jako antytezę *„łaski pańskiej“*, przyczyniło się bardzo do sanacyi naszego zmysłu politycznego. Chociażbyśmy nawet przyjęli za pewnik, że owo hasło wydane zostało przez prowodyrów tylko ze względów taktycznych, jako rodzaj *captatio benevolentiae* względem tłumów, to już fakt, że hasło stało się popularnem, dowodzi, że prowodyrowie trafili do serca ludu naszego.

W przeciwieństwie do prasy ugodowej, spoglądaliśmy na ruch ten jako na objaw ewolucyi społecznej. Pisaliśmy o tem często i dość obszernie. Kto operował przy ocenianiu ruchu tego mikroskopem, ten oczywiście dojrzał szczegóły niesympatyczne; „Przegląd“ badał nowe kierunki z dalszego trochę dystansu, żeby objąć okiem całokształt ruchu ludowego. Mamy przekonanie, że ruch ten ma przyszłość przed sobą, że rozleje się od Pszczyny aż do Warmii, po całym zaborze pruskim, i że swym ciężarem przygniecie wszystkie nasze koterye. Jest to tylko kwestya czasu! Podobny zrazu do niezwykłego zjawiska natury, posiada on swe właściwe prawa egzystencyi i właściwą swą orbitę. Zmusić go w czasie największego rozmachu, aby grawitował do środka, nie można: on posiada swe własne ognisko, do którego ciąży.

Pojęli to dobrze przywódzcy ruchu ludowego i dla tego założyli „stronnictwo“, żeby to ognisko uczynić widocznem. Chociaż ich za to ścigały Erinye naszych operetkowych Jowiszów, szli oni na przebój przeciw tym, którzy giętkość kości pacierzowej całego narodu wynieśli na wyżyny programu politycznego. My twierdzimy stanowczo, że w tych walkach naszych, które się toczyły w czasie ostatnich wyborów, chodziło naszym prowodyrom głównie o utrzymanie się przy władzy, — więcej o to, niż o zasady. Te klątwy, które rzucali na przywódzców „ruchu ludowego“ były nieszczere; zależało im tylko na zohydzeniu stronnictwa, które ich krzesła kurulne na dobre zaczęło gruchotać. To była prowokacya, a przywódzcy ruchu ludwego nie okazali tyle sprytu i przezorności, aby odcyfrować prawdziwe motywy i dyplomatycznem umiarkowaniem odepchnąć tę prowokacyę, lecz dali się porwać namiętności sekciarskiej i w ten sposób zdyskredytowali wobec prawdziwych przyjaciół ruchu ludowego swe własne stronnictwo.

Dziś rozgoryczenie w społeczeństwie naszem straciło na sile. Walka rozpocznie się na nowo przy najbliższych wyborach. Tymczasem przeciwnicy utrzymali się przy tych stanowiskach, które zajmowali w czasie zapasów.

„Ludowcy“ pracują podobno nad programem, ale go nie ogłaszają; nasze zaś „powagi“ przeciwnego obozu używają spokoju olympijskiego. Trzymając w jednem ręku koronkę oklepanych lokucyi patryotycznych, w drugiem przestarzały regulamin wyborczy, są pewni, że posiadają najskuteczniejsze środki do odżegnania się od ludowego Belzebuba. Powiadają sobie, jak smok we Walkirze Wagnera: „Ich lieg' und besitz'! Lass mich schlafen!“

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Rozmowa o ruchu ludowym. W konserwatywnym „Kraju“ petersburskim czytamy:

„Piszący te słowa, miał w tych dniach sposobność rozmawiania o stosunkach galicyjskich z jednym z najpoważniejszych pracowników tamtejszych na niwie oświaty ludowej. Rozmowę zaczęliśmy od wyrazów uznania dla tej pożytecznej pracy.

— Nie przeczę — odpowiedziano nam — że koło naszych zwolenników między ludem rozszerza się, ale do dnia dzisiejszego przewaga jest po stronie wydawnictw radykalnych.

Te słowa sprowadziły pogawędkę na tory polityczne. Zauważyliśmy, że radykalny ruch chłopski nie ogarnął całego ludu. Wymieniliśmy nazwiska posłów włościańskich, nie należących do stronnictwa ludowego.

Gość z Galicyi, którego umiarkowany pogląd znamy oddawna, patrzy na te sprawy z nieco odmiennego stanowiska. Sądzi on, że lud stoi po stronie radykalniejszych swych przedstawicieli i nie przypuszcza, żeby kierownictwo dało się w inne przenieść ręce.

— Dziś — są to jego słowa — mamy w kraju dwa obozy: szlachecki i ludowy, które ostatniemi czasy zapałały srogą nienawiścią ku sobie. Miejmy

nadzieję, że się to zmieni na lepsze. Trzeba się starać o obopólne zbliżenie, trzeba umieć trafić do ludzi takich, jak Bojko lub Wójcik, którzy mają lud za sobą, a, jak wiem z doświadczenia, gotowi są zawsze wysłuchać zdania, tchnącego szczerością i miłością ludu.

— Czyż nie jest jednak prawdą to, co nas dochodzi o mowach chłopskich w sejmie? Mają to być elaboraty, w których niema ani stylu chłopskiego, ani myśli chłopskich.

— Znasz pan stosunki galicyjskie oddawna. Czy możesz pan zaręczyć, że każdy z naszych konserwatystów sam sobie swoje mowy pisze?

— Więc, jednem słowem, ani Bojko, ani Wójcik, nie są tak straszni, jak się zdaje?

— Bezwątpienia. Dla Bojki muszą mieć osobisty szacunek z powodu jego nieskazitelnej prawości i jego ustawicznej pracy nad sobą. Wymowny jest bardzo. Wójcik, młodszy wiekiem, mniej ma doświadczenia i za Bojką pójdzie wszędzie. Dziś obaj są rozdrażnieni do najwyższego stopnia. W przemówieniach ich odzwierciedla się rozdrażnienie, które ogarnęło całą ludność wiejską.

— Są to echa walki wyborczej?

— Są to echa nietaktownego postępowania, trwającego już oddawna. Nieobliczoną szkodę wyrządziły Galicyi i sprawie chłopskiej nieumiejętnie redagowane pisma ludowe, mające oddziaływać na włościan w duchu konserwatywnym. Zamiast liczyć się z tem, że chłop będzie czytał tylko gazetkę, stojącą na stanowisku chłopskiem i broniącą interesów chłopskich, zaczęto przemawiać do niego tonem, który go zraził. Co gorsza, przez miotanie się na wszystkich, mających nieco odmienne zdanie, przez nieustanne straszenie chłopa „masonerya“ i „masonami“ zbałamucono go do reszty. Chłop stracił zaufanie do wszystkich, przemawiających słowami umiarkowania, a pozostał czułym jedynie na hasła radykalne. Wybory dokonały reszty.

— Nadużycia działy się zatem?

— O tem nikt w Galicyi nie wątpi. Pojmie pan, że władze naczelne nie mogą dziś potępiać jawnie organów podrzędnych i usprawiedliwiać je muszą. O nielegalnym nacisku ze strony urzędów przekonani są nawet ci, którzy, niechcąc wywoływać nowych starć i nowego zamieszania, czynią ofiarę ze swych zapatrywań i głosują w sejmie za zatwierdzeniem zakwestjonowanych wyborów. Jakże pan chcesz żeby to nie doprowadziło włościan do rozgoryczenia? Pomyślmy tylko, coby się działo, gdyby w ten sam sposób zechciano traktować wyborców w kurji większej. W Cholerzynie musiano ostatecznie kuć chłopów w kajdany. A o cóż poszło właściwie? O to, że jeden z wyborców podpowiadał drugiemu w obecności komisarza rządowego, na kogo ma głosować. Ależ takie rzeczy dzieją się na każdych wyborach szlacheckich! Wójcikowi wytoczono proces. I o co? O to, że, spraszając włościan do swej chałupy, zapraszał każdego, kto łaskaw, nie rozsyłając zaproszeń imiennych. Niechby prokuratorya postąpiła sobie w ten sposób po jakimś zjeździe szlacheckim w Krasiczynie, Gumniskach, lub Krzeszowicach! Przekonanoby się dopiero wówczas, co to jest wywołać nieprzejednaną, wściekłą opozycyę.

— Lud odczuł to żywo?

— Lud przysięgał na krzyż Pański, że swemu kandydatowi upaść nie da i przysięgi dotrzymał. Widziano rzeczy nadzwyczajne. Widziano chłopów, zwracających agentom wyborczym pieniądze, które pobrali poprzednio.

— I tem rozgoryczeniem tłomaczy pan zachowanie się posłów włościańskich w sejmie?

— Rzecz oczywista. Jestem sam gorącym zwolennikiem wniosku Dunajewskiego w sprawie gminnej. Jestem silnie przekonany, że wniosek ten jest dla włościan korzystniejszy od wniosku Potoczka. Sądzę, że kiedyś przekonają się o tem i włościanie, ale jakże nakłonić ich dzisiaj do popierania wnioskodawcy, zdającego całą inicyatywę w ręce tego samego rządu, który podczas wyborów tak się zachował?......

Czy nie należy się obawiać jakichś groźnych wybuchów tej niechęci? Czy nie wypada lękać się objawów czynnych?

— Ręczę, że nie! Jeżeli ich nie było w Cholerzynie i w Gorlicach, to śmiało twierdzić możemy, że lud nasz jest bardzo łagodny i bardzo cierpliwy. Pracujmy tylko nad zbliżeniem warstw, a przekonamy się, że z chłopem galicyjskim porozumieć się już można. Pod względem umysłowym rozwinął się on ogromnie.

— Czy sądzi pan, że dobre strony tego rozwoju przeważają następstwa ujemne?

— Stanowczo! Wieś galicyjska zmienia się w oczach naszych do niepoznania. Kto jej nie widział przez lat parę, zdumiewa się na widok zmiany. Wszak niedawno powiedział mi jeden z naszych młodszych duchownych: Ja, syn chłopski, nie poznaję tych ludzi po dwuletniem niewidzeniu!

— Więc przyszłości nie widzi pan w barwach czarnych?

— Bynajmniej! Patrząc na to, co oświata na wsi zrobiła, muszę przypuszczać, że lud będzie się coraz rozumniej na swe położenie zapatrywał. Z drugiej zaś strony niepodobna przypuścić, żeby żywioły zachowawcze nie zrozumiały w niedalekiej już przyszłości, że lud nasz jest siłą uświadomioną, którą, według własnego kaprysu, kierować nie można, lecz która da się opanować, pod warunkiem, iż będziemy się z nią na każdym kroku liczyli. Lud pójdzie za tym, kto mu służy bez wybiegów i kto mu prawdę zawsze mówić będzie. Gdy się tacy ludzie znajdą, wpływ radykalistów zniknie niebawem“.

* * *

W sprawie „Polskiego domu przemysłowego“. Korespondent poznański „Słowa polskiego“ (Lwów) donosi:

„Inną, a niemniej charakterystyczną ilustracyą stosunków naszych, jest kwestya „Domu przemysłowego“, pokutująca od lat kilku na bruku poznańskim. Ruch korporacyjny, szerzący się coraz pomyślniej w zaborze pruskim, przybrał w Poznaniu tak znaczne rozmiary, że polskie kawiarnie, restauracye i sale publiczne widzą się coraz częściej w przykrem położeniu odmawiania gościny naszym więcom, sesyom i zabawom. Wielkie zebrania polityczne i wyznaniowe odbywają się już oddawna w niemieckich hotelach, a w ostatnich czasach nawet mniejsze zabawy i posiedzenia szukać musiały przytułku u Niemców.

Ten stan nieznośny uszczupla nietylko majątek narodowy, ale naraża Towarzystwa nasze na różne szykany i impertynencye ze strony wrogich żywiołów i często wprowadza je w przykry ambaras przy lokacyi bibliotek, emblematów i sprzętów korporacyjnych. Takie stosunki zrodziły rozumną myśl zbudowania polskiego „Domu przemysłowego“. Autorem projektu był śp. Ludwik Rzepecki, redaktor „Warty“, „Oświaty“ i „Gońca Wielkopolskiego“, a wkrótce znalazło się grono ludzi dobrej woli, które utworzyło „spółkę z ograniczoną poręką“ i rozpoczęło żmudną robotę zbierania w drodze „udziałów“ funduszu budowlanego.

Wobec niezliczonych podatków narodowych, gniotących społeczeństwo nasze, kapitał rozwijał się zwolna i ociężale, ale bądź co bądź zainteresowanie rosło i zwiększała się liczba akcyonaryuszów. Nagle na wyżynach lojalno-klerykalnych wszczyna się ruch opozycyjny. Odzywają się szmery niechęci, że „Dom przemysłowy“ w firmie swojej nosi przydomek „polski“ i przed rokiem mniej więcej powstaje projekt zbudowania „Domu katolickiego“.

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Pod koniec stycznia zaświeciło jasno słońce nad Kołczanowem, obiecując spokojnym i wierzącym przyrodzie na słowo Kołczanowianom, wyjątkowo wczesną wiosnę. Rudy ruszył w drogę, przygarniając chętnie potoczki miasta, płynące z szumem wzdłuż bruku kostkowego.

Zapusty miały się ku końcowi, więc też kto był, bawił się w Kołczanowie do upadłego, chcąc skorzystać z ostatków zimy i karnawału, i nasycić się niejako na cały rok Boży tańcem, śmiechem i weselem.

Jednym z najuroczystszych w roku jest dla Kołczanowian zabawa publiczna w Gwieździe, poprzedzona przedstawieniem amatorskiem.

W tym roku wyznaczono na tę uroczystość sobotę, dzień Matki Boskiej Gromnicznej...

Do tej to soboty jeszcze niedawno wzdychała gorąco Lola, pełna tęsknoty i przeświadczenia, że ona da jej sposobność wyspowiadania się przed Dynieckim, i że podczas przedstawienia usłyszy z ust jego za kulisami niejednokrotnie urocze słowo „kocham“. Zawiodła się jednak. Ale teraz dzień Matki Boskiej Gromnicznej miał być dla niej dniem zemsty i o niej rozmyślała z taką samą niemal rozkoszą jak przedtem, kiedy marzyła o szczęściu. Zemścić się, zemścić... szumiało jej w głowie i sercu bez ustanku. I to uczucie było na razie najlepszem lekarstwem dla jej strapionego serduszka.

W sobotni ranek obudziła się o świcie i oprzytomniawszy zaraz, poczęła układać plan zemsty. Obmyśliwała szczegół po szczególe: jak to wejdzie dumnie i poważnie za kulisy, jak spojrzy na Dynieckiego, jak hardo skinie mu głową, co odpowie, gdyby się zbliżył i zagadnął, jak wreszcie przez cały ciąg gry pogardliwie uśmiechać się będzie. Wszystko to obmyśliła najdokładniej, a gdy przekonała się, że plan już jest zupełny, wyciągnęła się i z rozkoszą zawołała:

Anulka wstawajmy, dziś przedstawienie, trzeba się przygotować.

— Co, co?... — zapytała z pod kołdry Anulka i mrugnęła kilkakrotnie czarnemi zaspanemi oczami, nie mogąc zrozumieć, o co tu chodzi.

— Przedstawienie dzisiaj, czy nie słyszysz? I ty możesz spać długo?

— Zaraz, zaraz, Loleczko złota. Sukienka moja już gotowa, a rolę umiem także, więc po co się spieszyć.

Mimo to zerwała się natychmiast z łóżka i poczęła spiesznie ubierać i porządkować w pokoju.

Przez cały dzień wzdychały obie, krzątając się dokoła kokardek, tasiemeczek i kwiatków. Anulka drżała na myśl, że zapomni roli, Lola zaś, że ujrzy Dynieckiego

Tymczasem po południu wpadł Łasiecki z wielkim afiszem w ręku.

— Cz.... czy panie będą gotowe na szóstą? — pytał we drzwiach. — Afisze już porozlepiane, klamka zapadła, spóźnić się nie można. Proszę się tylko nie bać i nie mieć tremy. Ja będę doskonale podpowiadał. Oto afisz dla państwa. Proszę czytać.

Tu porwał za plecy Smolarza, który wszedł właśnie do bawialni, zawinął nim młynka i umieścił ogłoszenie na jego grzbiecie, poczem czytał głośno:

„Ukarany mąż“
komedya w jednym akcie przez Kamila de Labrique.
Osoby:
Mąż, pan Józef R.
Żona, panna Karolina B...
„Lotourneaux, pan Stefan D.
Jan, służący, pan Franciszek S.
Służąca, panna Anna S“.

— Oto i cały personał. Ręczę, że doborowy. A i afisz wspaniały. Sala już na pół urządzona. Przyszedłem tylko prosić, abyście panie przyjechały dokładnie o szóstej do Gwiazdy, ani o minutę później ani wcześniej. Tymczasem zabieram Franka, a Franek zabiera młotek i gwoździe, potem

mgnieniu oka utworzyły się dwa stronnictwa. dni wołają: „Polski dom przemysłowy" — drudzy: om katolicki" a rezultat tej walki jest taki, że a projekty — pomijając już wyłączenie charakteru rodowego z drugiej instytucyi — całe lat dziesią- czekać będą na urzeczywistnienie swoje. Rzu- no wprawdzie w ostatnich czasach myśl prakty- , aby nasze Towarzystwa przemysłowe, kupieckie, mieślnicze i gimnastyczne, z których niektóre po- dają znaczne fundusze, złączyły kapitały swoje wspólnego celu i powołały do życia gmach wiel- ch rozmiarów, o charakterze narodowym, w którym szelkie zebrania korporacyjne i wiece polityczne alazłyby wygodne pomieszczenie, — ale plan ten bec licznych uprzedzeń koteryjnych i nieznośnej *lique und Claquewirtschaft*" grasującej w Pozna- u, pozostanie zapewne długo *pium desiderium*. nutne stosunki! Wszystko się rwie i haczy, a stan prędzej się nie zmieni, dopóki nie zjawią się na enie publicznej ludzie wielkiego rozumu, wielkiej ergii i wielkiej miłości ojczyzny, i nie zastąpią otychczasowych kierowników społeczeństwa, grze- ęcych w większej części w prywacie, małych am- icyach i fanatyzmie stronniczym".

— *ski.*

LITERATURA I SZTUKA.

„Do młodych!"

Potężny autor „Rougonów" i „Rzymu" zwrócił się w tych dniach znowu do mło- dzieży w długiej, a płomiennie namiętnej przemowie, umieszczonej w paryskim „Figa- ze" z dnia 7 lutego p. t. „A la jeunesse". Oddawna patrzy Zola koso na prądy nurtu- jące pośród młodej generacyi, a już przed dwoma laty na bankiecie studentów paryz- kich, znalazł sposobność do wygłoszenia pa- miętnej i słynnej mowy: „A la jeunesse", nawołując całą młodzież do porzucenia mi- stycznych tęsknot i pożądań, a wstąpienia na drogę usilnej i celowej pracy, która je- dynie zdolna jest dać spokój wewnętrzny, równowagę umysłu i zadowolenie. Dzisiaj atoli genialny mistrz powieści naturalisty- cznej kieruje słowa swoje wyłącznie do naj- nowszej genreacyi literatów i artystów, któ- rzy, jak wiadomo, od dłuższego czasu żyją z nim na stopie wojennej, podnosząc coraz wyżej sztandar opozycyi przeciw naturali- zmowi, nie szczędząc gwałtownych urągań i zarzutów przeciw głównemu przedstawi- cielowi tego kierunku. Gwałtownością i gry- zącą ironią, nieprzebierającą w zjadliwych określeniach, nacechowane jest też obecne wystąpienie Zoli; snadź do żywego dopiekli mu „młodzi", skoro chwycił za polemiczną maczugę i ze zwykłą sobie siłą na prawo i lewo rozdziela potężne ciosy. Czy słusznie? Czy genialny pisarz nie myli się, potępiając w czambuł „nowych"? Czy zapatrywania jego, teorye, wygłaszane z porywającą wer- wą — nie świadczą raz jeszcze o jedno- stronności krytycznej i filozoficznej Zoli?

Warto się nad temi kwestyami zasta- nowić, warto poddać analizie tę najnowszą enuncyacyę szermierza naturalizmu, tembar- dziej, iż jest ona ze wszech miar znamienna, porusza zasadnicze a palące zagadnienia doby dzisiejszej a niewątpliwie szerokiem echem rozejdzie się po świecie. Niechajże mi przeto będzie wolno w pośpiechu stre- ścić wywody Zoli, przełożyć główne ustępy i nawiązać do nich motek kilku uwag...

Jakaż to kropla przepełniła czarę go- ryczy i skłoniła Zolę do tak gwałtownej wycieczki przeciw „młodym"? Po śmierci Verlaine'a, Zola umieścił w „Figarze" arty- kuł, w którym zastanawia się między innemi i nad kwestyą, dla czego młodzież literacka obiera sobie dzisiaj za wodzów talenty po- łowiczne i niezrównoważone i hołd składa ta- kim — zdaniem Zoli — dziwacznym pisarzom, jak np. Barbey d'Aurevilly, lub Viliers de l'Isle Adam? Bujnie rozwijające się w gorą- cym klimacie paryzkim młode „revues" i dzienniki nie omieszkały odpowiedzieć na zarzuty, korzystając zarazem ze sposobności, aby przypiąć łatkę naturalizmowi i jego he roldowi, który dąsa się i gniewa wskutek tego, iż młodzi, nie chcą dać się wodzić na pasku naturalizmu i wkraczają na nowe drogi... W ciągu swej repliki zwraca się tedy Zola do nich temi słowy:

„Ej, któż wam powiada, młodzi ludzie, iż chcemy być waszym mistrzem? Nie iż- byście byli całkiem wyzuci z talentu i iżby nie było to zaszczytem prowadzić waszą hordę do szturmu przeciw naszym starczym wysiłkom (votre horde à l'assaut de nos vieilleries"). Lecz przecież można się ró- żnić od was w poglądach a nie być mimo to skończonym osłem, jak wy zdajecie się mniemać... Co do mnie, wolę zerwać z wami i to zerwać na dobre, raz na zawsze. Przy- nieście sztylety i rozetnijmy więzy łączące nas, młodzi ludzie, bez chęci powrotu. Prze- dewszystkiem rozłączmy się z powodu po- trzeby jasności, która mnie wiecznie dręczy a upodobania w mroku, w jakim wy się nu- rzacie. Ach, ta jasność, przejrzystość, pro- stota! Dla mnie nic jest pewnem, że dwa a dwa to cztery, trzeba, żebym to wpierw stwierdził i dowiódł. Jeśli moje książki są tak długie, jeśli tak często się powtarzam, to dla tego, że obawiam się ustawicznie, iż mnie nie pojmą i nie zrozumieją dosta- tecznie. Światła i jeszcze światła, tego słońca co płonie i zapładnia! O! za grosz nie ma we mnie ducha północy, i mózg i serce mam na wskroś łacińskie; zapamiętały miłośnik pięknej symetrycznej architektury, wznoszący piramidy pod rozpalonym błęki- tem niebios — pragnę słów i zdań z kry- ształu, jasnych i prostych, i t. d, „Widzicie przeto, młodzi ludzie, iż należy nam się ro- zejść; tak będzie najlepiej. Rozejdźmy się, rozejdźmy, aby nikogo w błąd nie wpro- wadzać!"

„A następnie rozejdźmy się z powodu miłości, jaką ja zachowuję dla swojej epoki. Rozumiem, iż wy nie życzycie sobie łączyć się z człowiekiem, który kocha hale targowe, dworce kolejowe, wielkie miasta nowożytne, tłum, który się w nich mrowi, życie, co w tysiącznych przejawia się zmianach w ro- zwoju społeczeństw współczesnych. Mam już tę wadę, iż nie gustuję w miastach mgły i senności, w ludach mar i widm, co błą dzą wśród mgły, w tem wszystkiem, co lada podmuch wyobraźni przynosi i porywa. Mnie zaciekawia i porusza do głębi nasza demokratyczna społeczność, wstrząsana stra-

---

ysadzam Franka z młotkiem i gwoździami a drabinę i każę mu przybijać firanki. Po- nieważ jest w komedyi lokajem, więc musi yporządzić pokój dla panny Loli, swojej pani.

Wypowiedziawszy to jednym tchem i bez zająknienia, Łasiecki porwał Smolarza pod rękę, ukłonił się i odszedł.

Gwiazda posiadała obszerną salę do tańców z galeryjką do muzyki i małą sceną, umieszczoną w jednym z narożników. Scena ta, urządzona staraniem kilku amatorów, wy- glądała jak pudełko z kartonu. Sławny miej- scowy artysta malarz pokójowy i dekorator Chaim Berl, wysilał tu cały swój artyzm na stworzenie arcydzieła. Część frontową po- malował w czerwone, blado zielone i fiole- towe paski z dodaniem złotych kwiatów. Gdzieniegdzie przegradzały ową jajecznicę słupy jońskie. Ale najwspanialszą częścią dekoracyi była sama kurtyna. Na niej to już nie było pstrokatych mozajek pokojo- wych, ale występował wspaniały krajobraz, zasługujący bezwzględnie na bliższą uwagę. W głębi szafirowe niebo włoskie, na jego tle wznoszą się niebotyczne, sine góry skan- dynawskie, ozłocone wschodzącem czy też zachodzącem słońcem; na góry owe wspina się krzepki osioł ze skrzydłami, a do nad- powietrznego lotu przygrywa mu na harfie piękna niewiasta, pochodząca, o ile z ko- loru twarzy wnosić można, z krainy Kafrów czy też Hottentotów. U stóp niewiasty roz- rzucone są maski; a po jej prawicy siedzi na skale poważna sowa i dziwi się, że Chaim Berl mógł to wszystko wymyślić i wyma- lować.

Scena, przedstawia pokoik o trzech drzwiach i jednem oknie, i w tym pokoiku grywane bywają wszystkie komedye i trage- dye, ku zupełnemu publiczności kołczano- wiańskiej zadowoleniu. Tylko kiedy, nie- kiedy, gdy sztuka wymaga koniecznie pew- nych zmian nieznacznych, bywa scena od- powiednio do potrzeb danej chwili przera- biana. Tak naprzykład „Ukarany mąż" wy- magał, aby dla niego wykrojono w bocznej ścianie okienko wentylacyjne, przez które miał śledzić romans żony z kuzynkiem Le- tournaux. Łasiecki, przy pomocy nożyczek, pożyczonych u gospodarza kasyna, uczynił zadość dyspozycyi komedyopisarza i stworzył w ścianie okno, przez które mógł „ukarany mąż", pan Józef Raniecki, nie bez pewnych trudności, wścibić głowę na scenę i podsłu- chiwać rozmowę małżonki z niebezpiecznym kuzynkiem, oraz czynić zgryźliwe uwagi „na stronie", stanowiące najefektowniejsze ustępy komedyjki pana Labrique.

Przed szóstą ukończył Łasiecki przy po- mocy Smolarza resztę przygotowań około urządzenia salonu; firanki przypiął, stoliki i kanapki poustawiał na odpowiednich miej- scach, zawiasy u drzwi i bleczki przy kur- tynie wysmarował oliwą, aby nie skrzypiały, poczem usiadł zmęczony, lecz pełen zado- wolenia i zapalił papierosa.

— No — zauważył — sama Helena Modrzejewska może teraz grać na naszej scenie, a nie będzie jej tu nieswojsko.

Ani Smolarz nie słyszał tej uwagi, a ra- czej słysząc, nie starał się jej rozumieć. Jego myśli były przy Loli. Od kilku dni będąc narzeczonym, mógł na nią patrzeć przy stole, patrzeć wzrokiem gorącym, jak promień słońca i jak on bezlitośnym w swej wytrwałości, co to natrafiwszy na rosę po- ranną, dopóty ją pożera, póki nie wysuszy do ostatniej kropli. Gdy zajęty pracą przez parę chwil nie myślał o niej, budził się na- gle z obojętności i z niewysłowioną rozkoszą pieścił się na nowo jej obrazem.... Teraz zatrudniony przybijaniem firanek i wdzie- waniem fraka służebnego, nie myślał o niej przez chwilę, lecz gdy te czynności skoń- czył, powrócił do niej natychmiast i począł liczyć niecierpliwie sekundy, brakujące do szóstej i do jej ukazania się na scenie. Roz- myślając i marząc przechadzał się szerokimi krokami po niewielkiej scenie; robił syste- matycznie pięć kroków tam, pięć kroków napowrót i dwa obroty na lewej nodze, jak wysłużony wojskowy. Łasiecki, widząc to, zaczął się złośliwie uśmiechać.

— Franek, ty jeszcze nie masz peruki na łbie.

— Hm....

— Wiesz ty, że tobie, w tym fraku wcale do twarzy, jak Boga kocham.

— Hm.... — mruczy Smolarz i uśmie- cha się dobrotliwie.

— A nie zapomniałeś ty swej roli, co?..

szliwym problematem prawa pracy, tak pełna cierpień i odwagi, litości i humanitarności, iż wielki artysta, chcąc ją odmalować, nie zdołałby wyczerpać ni serca swego, ni mózgu. Tak, owo drobne mrowie w ulicach, ów lud, zapełniający fabryki i folwarki, mieszczanin, który walczy celem zachowania swej władzy, wyrobnik, który domaga się sprawiedliwszego rozdziału dóbr i korzyści, cała ludzkość współczesna przeobrażająca się ustawicznie — oto pole i dziedzina mych zabiegów. Żadna epoka nie była większą, bardziej roznamiętniającą umysły, bardziej brzemienną w przyszłości cuda, a kto tego nie widzi, jest ślepy, a kto wzgardliwie zasklepia się w przeszłości lub w marzeniu, jest jako dziecko, bawiące się piszczałką. Optymista, o tak! całem swem jestestwem, przeciw temu głupiemu pesymizmowi, przeciw tej haniebnej impotencyi woli i miłości! Rozłączmy się, młodzi ludzie, nie zwlekając dłużej!"

„I rozejdźmy się wreszcie z powodu mej upartej wiary w prawdę, w starą naturę, w młodą wiedzę! Wszystko jest w niej, nic po za nią! To, czego ona dziś nie wie, będzie wiedziała jutro, czego zaś poznać nie zdoła, dozwólmy, aby zostało nieznanem, ale nie zmieniało się w błąd! Całą swą wiarę pokładam w życiu, uważam je za wieczyście dobrą siłę, jedyną twórczynię siły i zdrowia. Ono jedynie jest płodne, ono jedynie pracuje nad ustrojem przyszłości. Jeżeli się zaciekam w ścisłej doktrynie pozytywizmu, to czynię to dla tego, iż w niej należy widzieć najlepszą obronę przed obłędem umysłów, przed tym idealizmem, który tak snadnie skłania się ku najgorszym zboczeniom (perversions) i śmiertelnym grzechom socyalnym. Wy już po uszy tkwicie w mistycyzmie, w satanizmie, w okultyzmie, w idei, która żyje z dyabła, w miłości, która nie wydaje dzieci! Narody mrą i giną, jeśli nie kochają życia, jeśli błądzą wskroś ciemności, wyciem wołając śmierci, w rozszalałem pożądaniu tajemniczości... Rozejdźmy się na każdem polu, w tem, co dotyczy mężczyznę i kobietę, w tem, co dotyczy życia i prawdy!"

I w ten sposób strofuje Zola długo jeszcze „młodych", a w miarę, jak posuwa się w swych wywodach, wzbiera gwałtowność i namiętna zjadliwość jego zarzutów. Już nie „jeunes gens", ale „belle jeunesse" i „mes petits" apostrofuje przeciwników. Czyż nie wiecie, że literatura jest jako huśtawka? Nadmiar prawdy powoduje nadmiar marzeń, ale czyż sądzicie, że obserwacya może być pogrzebana!... Zresztą nie prawda, jakobyście bodaj na chwilę zamroczyli blask dzieł i prawdy! Osławiony naturalizm stoi na niewzruszonych podstawach, ten naturalizm, o którym codzień krzyczycie, iż leży w grobie, aby tylko wzbudzić przekonanie, iż tam istotnie leży! Naturalizm jest żywotny, bo jest on wynikiem epoki i z niej czerpie soki pożywne; zmieńcie wprzódy ustrój społeczny, jeśli pragniecie, aby wasza sztuka, reakcyjna sztuka arystokracyi i objawień mogła się rozwinąć. Dzisiaj, dzieła wasze, mimo niezaprzeczonego talentu ich twórców, „martwe przychodzą na świat" i t. d. „Wy nie jesteście całą młodzieżą; uchodzicie za taką, bo hałasujecie, macie swe revues i dzienniki... W was nie ma krwi młodocianej, jesteście pedantami oschłymi, dogmatykami!"

Namiętna filipika kończy się temi słowy: „Więcej tych lilij; zapewniam was, iż jeszczeście nie dosyć przynieśli! Pełne garście, pełne kosze lilij, abyście cały świat zatruli! I blade dziewice, dziewice na wskroś uduchowione, co błądzą w ustronnych gajach i słaniają się w objęciach kochanków, podobnych do widm sennych! Przesuwajcie nam coraz to nowych dziewic szeregi bez końca przed oczami, aby nam obrzydły ostatecznie! I nie zaniechajcie symbolów, błagam was, twórzcie coraz to nowe, coraz ciemniejsze, coraz bardziej skomplikowane na umęczenie biednych mózgów ludzkości!"

„Ale jakież zadośćuczynienie gotujecie nam, o maleńcy! Jeśli jeszcze przez lat kilka liliowe żniwa wasze, jedyny powód tylu migren społecznych, nie przestaną dawać tak obfitych plonów, naturalizm, ten szpetny naturalizm, pogrzebany przez was w ziemi, pocznie bujnie kiełkować by kłosy żytnie, żywiące rodzaj ludzki".

Czytelnik z podanych tu wyjątków snadnie osądził, z jaką gwałtownością i sarkazmem, Zola, autor powieści z pewnością nieśmiertelnych jak „Rougoni" i kilka innych, tytan pracy, zapatrzony w wieczną harmonią praw natury, umysł lubujący się w uogólnieniach, wizyoner liryczny, posługujący się w wielkich swych epopejach socyalnych, ogromnemi symbolami — uderzył na młodą generacyę poetów i artystów, których łączy tylko jedno: sztandar indywidualizmu. Niesłusznie przeto Zola traktuje ich jako zwartą jednolitą falangę, skoro przecie, jak wiadomo, tak znaczne między nimi zachodzą różnice.

Prawda, odwracają się po większej części także od naturalizmu. Uważają bowiem metodę i filozofię naturalizmu za przeżyte. Naturalizm, obserwacya drobiazgowości życia, spełniły już swe zadanie były konieczne kiedyś, gdyśmy jeszcze nie umieli patrzyć na otaczającą nas rzeczywistość. Dziś atoli, po przejściu zbawiennej szkoły naturalizmu, po wyczerpaniu całego zakresu zjawisk zewnętrznych i powszednich, nie sposób ograniczać się dłużej na samej obserwacyi i przedstawianiu przedmiotowej rzeczywistości. Huysmans, były uczeń Zoli, na pierwszej stronnicy powieści „La-bas" zarzuca naturalizmowi płaskość, banalność i filisterską brutalność tematu, „l'immondice des idées et des mots". Idealizm, o, ale nie idealizm p. T. Jeske-Choińskiego, i sztuka ściśle osobista, indywidualna, poczyna wszędzie dzisiaj zjednywać sobie mir i uznanie.

Niesłusznie Zola zarzuca „młodym" dogmatyzm i potępia ich za to w czambuł. Toż jedni mają talent, drudzy nie, jedni, którym brak zdolności są może pedantami, ale czemuż za winy kowala wieszać ślusarza? Idealnego zapału głębokiej i szczerej czci dla sztuki odmawiać „młodym" nie zdoła, zdaje się nikt, kto jeno bacznie śledzi ewolucyę sztuki współczesnej. Żyjemy w epoce przejściowej, na przełomie dni nowych, a doba taka budzi zawsze moc pożądań, tęsknot i marzeń niespełnionych, ponieważ zaś nikt nie jest zdolen przewidzieć przyszłości i wskazać niezawodną drogę, zatem nie dziw, iż wielu ogarnia znurzenie i smętek; rozciągać wszakże ten zarzut na „młodych" bez wyjątku, niesłuszna to rzecz! Pogrzeb pieśniarza, pogrzeb, który stał się powodem całej tej zjadliwej polemiki mię-

---

Z....założyłbym się, że będziesz gorzej uty kał niż ja sam, choć to mój fach. Ej do licha, urządzać teatr lubię, ale na drugi raz będę wymagał, aby moi aktorzy w czasie od rozdania ról do wykonania sztuki nie myśleli o amorach, bo będzie źle dalibóg!

Smolarz przystaje, uśmiecha się i podkręca wąsy.

— D....doczekał się raz zając wąsów i myśli, że pan.... Czegoż tak znowu zawracasz oczyma, jak śledź co go przez pół przekroili i solą obsypują, co?

— Hm... Idź ty nicponiu jeden z twoimi żartami.

— D....dalibóg. Ja ci mówię, nie ma śmieszniejszych ludzi nad zakochanych. Ty naprzykład masz teraz taką właśnie minę, jakbyś już jutro szedł w szeroki świat.

— Hm....

— A kiedyż ty się w ten świat szeroki wybierzesz? Może zaraz po przedstawieniu i to jeszcze w tym fraku z blaszanymi guzikami. Doprawdy złota myśl, poco ci tam ślusarstwa, pokazuj się tylko za pieniądze, a zarobisz więcej niż przy warsztacie. Więc idziesz w szeroki świat co?

— Mój ty, daj mi święty spokój, gdzie ja dziś o świecie myślę. Dla mnie cały świat to moja Lola.

Spojrzał na pierścionek zaręczynowy, poruszał nim do światła i uśmiechnął się znowu.

— Czy ty już próbował go wsadzić na nos, co? Jeżeli nie, to spróbuj. Stań tam przed lustrem i spróbuj.... Słowo daję, t....to będzie bardzo interesujące.

Drzwi od bocznego pokoiku, przeznaczonego na ubieralnię amatorek, rozchyliły się i wszedł Dyniecki.

— Kobiet nie ma jeszcze?... — zapytał we drzwiach, paląc papierosa i nie zdejmując kapelusza.

— Nie ma panie — odmruknął Łasiecki. — Bardzo pan dobrze robisz, że nie ściągasz nakrycia z głowy. Tu jest piekielnie zimno i można dostać łupania w czaszce, a pan i tak masz już małą łysinkę na ciemieniu, to tem niebezpieczniej. Muszę i ja czapkę nałożyć na uszy.

Wstał i wdział czapkę na głowę.

Dyniecki spojrzał na Łasieckiego wielkiemi oczami. Dorozumiał się widocznie, co miała oznaczać złośliwa jego uwaga, ale znając Łasieckiego i jego zjadliwy język, uznał za stosowne nic nie odpowiedzieć na tę uwagę.

Za chwilę ozwały się na schodach lekkie kroki kobiece. Pani Borajska z dziewczętami, Szelągowa z Mańką i kilka jeszcze kobiet, złączywszy się w drodze do Gwiazdy, weszły do sali przyległej, zwanej czytelnią. Za ich przybyciem, budynek dotąd pusty, oddający echem każde słowo, napełnił się od razu życiem i gwarem.

Lola wbiegła za kulisy, wołając:

— Panie Łasiecki, a gdzie nasza ubieralnia?

— Tutaj, tutaj.

Spostrzegła Łasieckiego, Smolarza i Dynieckiego, który na jej widok powstawał wolno z kanapki. Zmieszana, chciała się cofnąć, pozostała jednak i niepewnie wodząc oczyma, przemówiła jąkając się:

— E.... panie Franciszku, weź pan moje rzeczy.

Smolarz poskoczył i porwał oburącz zwitek, zawierający sukienkę Loli.

Dyniecki postąpił rownież krok naprzód, ale nie uprzedzał Smolarza.

— Taka to dola narzeczonego — zauważył z uśmiechem. — Trzeba być zawsze i wszędzie na usługi pani swego serca; lecz zkądinąd jest to nader miły obowiązek.

Lola, odzyskawszy w tym czasie zimną krew, podniosła dumnie głowę i spojrzawszy przymrożonemi oczami na Dynieckiego, zapytała, zwracajac się do Łasieckiego:

— Może przychodzimy za późno?

W sam czas, doskonale, moja prześliczna primadono. Proszę się tylko zaraz ubierać. Dla pań jest przeznaczony pokoik, mężczyźni ubierają się i charakteryzują tam, za prześcieradłem. Panie Dyniecki, proszę za kotarę, fryzyer już czeka.

Czytelnia i sala zastawione krzesłami, poczęły zaludniać się coraz bardziej. W oddali za kulisami i kurtyną powstał gwar, świadczący, że publiczność przybywa w znacznej liczbie.

W niespełna pół godziny opuściła Lola ubieralnię i weszła na scenkę przywdziana w strój salonowy, wedle najnowszej mody,

dzy „młodymi“ a Zolą, okazał dowodnie młodzieńczy zapał i kult dla piękna, jakie panują pośród nowej generacyi artystów. I równocześnie z artykułem genialnego, lecz jednostronnego przedstawiciela naturalizmu, wpadł mi w ręce wiersz jednego z najwybitniejszych talentów między młodymi, Vielé Griffina, wiersz poświęcony pamięci zmarłego Verlaine'a, kończący się słowy:

„J'ai foi: La Beauté triomphale est reine.
La vie, en nous, autour de nous est surhumaine;
Perpétuelle, plaintive ou forte, haute ou frêle,
Chante à la lèvre élue la voix qui sait
Lire les mots de Dieu dans l'ombre illuminée.

Ludwik Szczepański.

BADANIA NAUKOWE.

Wyprawa Nansena do bieguna północnego.

Jak biegun północny wygląda? Zanim to pytanie rozstrzygnęła nauka i pozytywne doświadczenie, odpowiedział na nie w imię fantazyi głośny powieściopisarz Juliusz Verne w książeczce p. t. „Przygody kapitana Hatterasa“: Owóż twierdzi on w swej powieści przedewszystkiem, iż do bieguna północnego dojść można i że stanowi go nie woda, nie pole lodowe, ale ląd stały. Matematyczny punkt bieguna północnego wedle francuskiego powieściopisarza tworzy wulkan. Hatteras, bohater powieści, ogarnięty szałem, wbiega na wulkan, na brzegu krateru zatyka sztandar angielski a towarzyszom jego udaje się tylko z najwyższem natężeniem uratować go. Wulkaniczna wyspa biegunowa, w powieści „Wyspą królowej“ nazwana, jest otoczona morzem, wolnem od lodów, mającem + 11 stop. temperatury, błękitnem jak niebo włoskie, niesłychanie głębokiem i świecącym odblaskiem dziwnych zjawisk elektrycznych. Głębie te ożywiają nieznane gdzieindziej zwierzęta, meduzy, po 30 metrów mające długości, prawdziwe fantasmagorje zoologiczne, nadto olbrzymie rośliny, a ponad powierzchnią wody unoszą się setki dziwnego ptactwa. Kosmiczne i magnetyczne zorze, niewiedzieć zkąd powstające a wspaniałe jak baśń, z nocy biegunowej robią jakiś inny, czarodziejski dzień. — Natomiast sam wulkan biegunowy ma być wysoką, skalistą, martwą górę, bez śladu roślinności.

Tak się ma przedstawiać biegun północny według Juliusza Vernego. Niejedna z fantazyi tego powieściopisarza już sprawdziła się, być może więc, że i ta się sprawdzi.

Za wulkaniczną naturą bowiem bieguna północnego przemawia to, iż w pobliżu południowego bieguna odkryto dwa czynne wulkany, a telegramy o powrocie Fritjofa Nansena głoszą, iż odkrył on na biegunie ląd stały!...

I gdyby wiadomość o powodzeniu wyprawy Nansena się sprawdziła, bylibyśmy świadkami bodaj czy nie największego odkrycia naszego wieku.

W czerwcu 1893 roku opuścił Fritjof Nansen na specyalnie zbudowanym okręcie „Framie“ Christianię, aby dotrzeć do bieguna północnego. Rękojmię powodzenia przedstawiał dla śmiałego podróżnika los „Jeanetty“, statku, na którym puściła się do bieguna wyprawa amerykańska w r. 1881. Statek ten rozbił się na północ od nowosyberyjskich wysp. W trzy lata potem znaleziono szczątki tego okrętu na południowem wybrzeżu Grenlandyi, to jest po przeciwnej stronie bieguna.

A zatem jakiś prąd morski, przepływający biegun, uniósł je ze sobą. Owóż Nansen postanowił wyzyskać ten prąd, powierzyć mu swój okręt i w ciągu dwóch do trzech lat przebyć drogę przez biegun północny. Plan swój wprowadził w życie; na „Framie“ puścił się w podróż, z której przez dwa lata nie było o nim żadnej pewnej wieści, prócz dość bałamutnych pogłosek.

Teraz dopiero nadchodzą z Petersburga telegramy, iż Nansen dokonał zamierzonego odkrycia i powraca już ze swej wyprawy. Wiadomość ta jednakże zasługuje co najwyżej na miano przypuszczenia. Przemawia za tem jej pochodzenie. Przybyła bowiem z Irkucka, stolicy Syberyi zachodniej. Do Irkucka zaś wieść o epokowem odkryciu przyjść miała od burmistrza miasta Kołymska. Ow zaś burmistrz miał swoich wiadomości zasięgnąć od dostawcy Nansena. Zkąd przedewszystkiem ów dostawca Nansena mógł się z nim tak z blizka komunikować, aby wiedzieć, co on na biegunie porabia, jest rzeczą niewiadomą. Powtóre Petersburg od Irkucka jest oddalony o przeszło 2.000 kilometrów, a Irkuck od Kołymska o 3.000 kilometrów, a pomiędzy jednem a drugiem z tych miast syberyjskich nie ma wcale telegrafu, ani nawet nazbyt stałej innej komunikacyi, tak że wiadomość w tego rodzaju pochodzie mogła bardzo stracić na prawdziwości.

A więc zapewnienia o powodzeniu wyprawy Fritjofa Nansena trzeba brać ze sporą dozą krytycyzmu, jednak za nieprawdopodobne niepodobna ich uważać. Należy bowiem pamiętać, iż Nansen miał wszelkie dane po temu, aby być szczęśliwszym co do ostatecznego wyniku, niż inni podróżnicy biegunowi. Najpierw jest to człowiek o głębokiem wykształceniu fachowem a przytem zdolny do stawiania śmiałych lecz prawdopodobnych hipotez, o czem świadczy przedewszystkiem pomysł wyzyskania do celów ekspedycyi, prądu morskiego przepływającego przez biegun. Powtóre sam Nansen z charakteru i temperamentu należy podobno jakby do bajecznych postaci bohaterskich. Żadne przedsięwzięcie nie jest dla niego za wielkie, żaden trud za ciężkim. N. p. w r. 1888 przebył na nartach (po skandynawsku ski, czyta się szi) całe wnętrze Grenlandyi i rozwiał w puch legendy o tem, jakoby stanowiły je zielone oazy, zkąd nawet powstała nazwa kraju.

Jeżeli do tych przymiotów umysłowych i duchowych przewodnika wyprawy, dodamy to, że została ona przygotowana z taką przezornością i starannością jak żadna z poprzednich, otrzymamy razem bardzo silne dane, popierające przypuszczenie, iż Nansen rzeczywiście odkrył biegun północny.

O owem właśnie wyekwipowaniu wyprawy Nansena warto jeszcze parę słów

---

oczywiście kołczaniańskiej, t. j. w białą suknię, przybraną koronkami.

W ślad za nią wysunął się z zaimprowizowanej kotary Dyniecki, również w elegancki strój wizytowy przebrany. A ponieważ właśnie w tym czasie Anulka ubierała się w sukienkę służącej, a Smolarzowi wkładał fryzyer, w asystencyi Łasieckiego rudą perukę na głowę, więc Lola i Dyniecki znaleźli się sam na sam.

Dziewczyna powiodła zimnem spojrzeniem po Dynieckim i obojętnym wyrazem twarzy wskazywała, że zapomniała już o wszystkiem, co mogło ją dotykać lub boleć, że gotową jest rozmawiać z nim spokojnie, jeżeli ma ochotę wdać się z nią w rozmowę. On natomiast, uśmiechając się nieznacznie, starał się uporczywem spojrzeniem odgadnąć jej myśli. W każdym razie czuł, że Lola pragnie go nienawidzieć w tej chwili.

Taki nastrój duszy kobiecej, będącej na rozdrożu, gdzie miłość nie wytlała jeszcze, a nienawiść nie przeszła w obojętną wzgardę, był dla Dynieckiego najmilszą zachętą do igraszki. Wypróbować siły swego wzroku i słowa na przeciwniku, który powziął zamiar bronić się i walczyć zawzięcie, stanowiło dlań prawdziwą rozkosz.

— Jesteś pani tedy narzeczoną — przemówił, zasiadając obok niej. — Powinienem pani złożyć moje powinszowania....

— Dziękuję — odparła Lola chłodno i zamilkła.

— Ślicznie pani wyglądasz w tej białej sukience, przypominającej cokolwiek suknię ślubną. Cieszę się, że w komedyjce, którą grać mamy, przypada mi rola kochanka, a raczej kochającego. Będę się starał zagrać ją z wielką szczerością i uczuciem, a przyjdzie mi to tem łatwiej, że pod pokrywką komedyi kryć się będzie wiele szczerej prawdy.

Lola wstała.

— Pan jesteś niegrzecznym. Muszę odejść. Zapominasz pan, że jestem narzeczoną.

Dyniecki zerwał się z kanapki, złożył ręce prosząco i zawołał:

— O zostań pani, panno Lolu, ja pani wcale urazić nie chciałem. Owszem chciałem tylko sprowadzić rozmowę na ton serdeczniejszy. Pani się możesz gniewać na mnie słusznie czy niesłusznie, to rzecz inna, mimo to ja czuję głęboki szacunek dla pani i chciałbym pozostać na zawsze szczerym pani przyjacielem. Proszę, niech pani usiądzie, proszę bardzo.

Gdy Lola mimowolnie usłuchała, zagadnął po krótkiej przerwie:

— Mówmy szczerze. Więc pani bardzo kochasz swego narzeczonego?

— Tak, kocham go, bo jest tak szlachetny i poczciwy, że go kochać muszę.

— Piękna to teorya, ale niestety tylko teorya; praktyka bowiem powiada, że miłość i szacunek, to rzeczy zupełnie odrębne.

— Dla pana może, ale nie dla mnie.

— Dla pani także. I dla tego twierdzę stanowczo — tu się uśmiechnął znacząco i zrobił dłuższą pauzę — twierdzę stanowczo, że pani Franciszka Smolarza nie kocha.

— Czy tak?... To przecież dziwne! Jak można sądzić z taką stanowczością o tem, o czem się nie ma pojęcia.... Pan przecież przeniknąć mych myśli, mych uczuć nie możesz.

— Ale mogę natomiast czytać w oczach pani. I w tem moja nad panią przewaga, bo pani ani czytać w oczach, ani zrozumieć uczuć obcych dotąd nie umiałaś.

— Z czego pan to wnosisz?

— Z faktów; pani tak jest, z faktów.

— Nie rozumiem.

— A więc będę się jaśniej tłómaczył. Oto przykład. Chciałaś pani ukarać kogoś, nie zasługującego na karę, i ukarałaś osób troje. Panno Lolu, powiedz mi pani szczerze co właściwie w tej całej sprawie zawinił pani biedny Smolarz?

— Co on zawinił? On nic nie zawinił, i dla tego będę się starała, aby był szczęśliwy.

— Dobrze. Postanowienie bardzo piękne, ale znowu tylko w teoryi: bo uszczęśliwiać kogoś kosztem własnego szczęścia, to przecież więcej niż dziwactwo. Pani takich dziwactw czynić nie powinnaś.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

przypomnieć. „Fram“, okręt Nansena, noszący nazwę, która tłómaczy się na polskie przez „Naprzód“, został zbudowany tylko w celu służenia ekspedycyi, według modelu, dostarczonego przez samego Nansena, w ten sposób, aby przedstawiał jak największą siłę odporną przeciw naporowi lodów. Koszt jego był bardzo znaczny. Okręt bowiem obliczony był wszystkiego na 12 ludzi, ściany jego składają się z kilku warstw sztucznie skombinowanych, a sama powłoka zewnętrzna, chroniąca go przed lodem, kosztowała 20.000 koron szwedzkich.

Do wyekwipowania „Frama“ należy stosowna liczba starannie wybranych i tresowanych psów północnych, których miano używać w krótkich wycieczkach sankami. Pozatem narty miały służyć za środek poruszania się poza okrętem. Dla ubezpieczenia załogi przed szkorbutem, Nansen wykluczył solone mięso ze swojej spiżarni. Ku rozjaśnieniu długiej nocy biegunowej, trwającej od 23 września do 21 marca, posłużyć miała elektryczność. Także i o zabezpieczenie załogi przed dotkliwem zimnem, które już w Grenlandi dochodzi do 50 stopni Celsiusza poniżej zera, postarano się w odpowiednim stopniu. A skoroby mrozy nazbyt już dokuczyły załodze, mogła się cofnąć w sam środek okrętu, do małego, ale w wyborną bibliotekę opatrzonego saloniku. Pod podłogą tego saloniku znajduje się pokład korkowy, gruby na stopę, sufit składa się z dwunastu rozmaitych warstw drzewnych, podobnież ściany, a to mianowicie w tym celu, aby zapobiedz tworzeniu się na nich lodu, co się innym wyprawom biegunowym zawsze bardzo we znaki dawało. Na okręcie znajduje się maszyna dynamo-elektryczna, do poruszania rękami, którą podczas nocy polarnej kolejno po czterech ludzi w ruch wprawiać miało. Cały statek ma dziwny, śmieszny prawie kształt: jest krótki, szeroki, pękaty o wydętych bokach, tak skonstruowany, aby go lody nie zgniotły, zaś w razie zbyt wielkiego nacisku, aby go poprostu tylko na wierzch wysadziły. Statek jest właściwie żaglowcem, ale ma też do rozporządzenia maszynę parową o sile 156 koni. Sciany okrętu przeważnie zbudowano z dębu włoskiego, któreto drzewo wyleżało się było około 30 lat pod dachem. Wyschło więc dostatecznie. Wnętrze wyłożone jest fiszbinem, na 4 do 8 cali grubości, zewnętrzna zaś powłoka okrętu składa się znów z trzech warstw. Tuż po właściwym szkielecie drzewnym przychodzą płyty dębowe, grube na 3 cale, przymocowane galwanizowanemi gwoździami okrętowemi. Na to przychodzi czterocalowy pokład kory dębowej. Po wierzchu dopiero przychodzi właściwa powłoka przeciwlodowa, z materyału, którego nazwy „greenheart“ niepodobna przetłómaczyć. Powłoka ta od grzbietu ku linii wodnej co do grubości wzrasta z 3 na 6 cali. Oprócz tego spojenia i zagięcia zaopatrzone są w ochrony żelazne. Sciany więc mają grubości 70 do 80 centimetrów. „Fram“ puszczając się w podróż, miał ze sobą ośm łodzi, trzy większe i pięć mniejszych, aby mogły pomieścić w sobie całą załogę i żywność na kilka miesięcy.

A więc człowiek wykształcony jak Nansen, jak on energiczny i stanowczy, wreszcie jak on zaopatrzony we wszelkie środki, mógł rzeczywiście dokonać wielkiego dzieła, czy jednak niezwykła wiadomość o odkryciu bieguna północnego sprawdzi się, o tem sądzić na pewno nie można.

K. L.

* * *

Ostatnie telegramy dotyczące wyprawy Nansenowskiej brzmią:

Petersburg, 18 lutego.

Z Irkucka nadszedł następujący telegram od redaktora „Wschodniego Przeglądu“ Popowa: Wieści o Nansensie, wysłane przez Kondakowa, są zupełnie wiarogodne.

Christiania 18 lutego.

Nansena sekretarz prywatny *Christofersen* wyraża w gazecie „Morgenbladet“ przypuszczenie, że Nansen z okrętem swoim mógł dotrzeć do 85 stopnia północnej szerokości a ztamtąd na sankach do bieguna północnego. *Nordenskjöld* natomiast wyraża pewne wątpliwości, czy Nansenowi na sankach lub ski udało się dotrzeć do samego bieguna.

Z estrady i sceny.

„Czarne djabły“,

dramat w 4 aktach przez W. Sardou.

Dla lubownika tortur nerwowych przedstawia dramat, odegrany w zaprzeszły czwartek na scenie poznańskiej, obfite źródło rozkoszy. Oślepia jaskrawością efektów, dech w piersiach słuchaczów zapiera, drażni, podnieca i męczy. W publiczności jednak, spragnionej subtelniejszej strawy artystycznej i zakreślającej sztuce szlachetniejsze cele, cała ta sensacyjność torturująca budzić musi niesmak. Garść rakiet błyskotliwych, szarpanie nerwów, a w końcu szum, wyczerpanie i pustka to artyzm zepsuty i trujący jak morfina. A przecież hołdują mu tłumy szerokie i detronizacya Wiktora Sardou na scenach europejskich nie jest bynajmniej faktem dokonanym, mimo wszelkich nawoływań krytyki.

W zakresie tej roboty *„à ficelles et à grand effet“* wyróżniają się „Czarne djabły“ korzystnie dokładniejszą niż w innych utworach charakterystyką poszczególnych postaci, rażą natomiast takiem nagromadzeniem wszelkiego rodzaju narkotyków i fosforycznych błysków, że we mnie przynajmniej większą budzą odrazę, niż którak lwiek ze sztuk wielkiego pyrotechnika dramatu. Te sensacyjne sceny w opuszczonym zamku nadmorskim, ta kradzież brylantów, ten salon w płomieniach i kłęby dymu duszące bohaterów, ta śmierć w halucynacyach, wszystko to rozstraja, nuży i dręczy. Ale za to „Czarne djabły“ nastręczają dla aktora-wirtuoza znakomitą sposobność zabłyśnięcia wszystkiemi blaskami techniki teatralnej i gimnastyki mimicznej. W tej sztuce nie ma „złej roli“, — że użyję gwary zakulisowej — tam role „same grają“, — że po raz drugi zapożyczę zwrotu stylowego z aktorskiego świata, — a ponad wszystkiemi króluje bohaterka, jej kochanek i stary, podejrzliwy, głupio-fałszywy tetryk. Sara Bernhardt lubuje się podobno w „Czarnych djabłach“, — posiada je-

NAUCZYCIEL.

OBRAZEK Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

przez

M. WITOROZA.

(Dokończenie).

Wieczorem wracał do domu znużony i kładł się do snu niespokojnego, przerywanego refleksyami przykrych, dziennych wrażeń, aby nad ranem z osłabieniem i bólem wstawać do dalszej gonitwy.

Po trzech latach takiego życia, będąc z natury słabowitym i bardzo wrażliwym, począł doznawać od czasu do czasu bicia serca; był to wyraźny znak rozstrajania się nerwów. Matka i siostry całą siłą wymowy i łez parły go do składania egzaminu na nauczyciela gimnazjalnego. I oto idealne marzenia w kąt pójść musiały. Zresztą w ciągu studjów uniwersyteckich powoli wdrażał się w metodę badań filologicznych, tę metodę wysoce sztuczną, głównie przez niemieckich filologów uświęconą, która gmatwaniną formalizmu, rozbiorem krytycznym tekstu, labiryntem najsubtelniejszych dociekań drobiazgowych, tak zręcznie plątać umie umysły młodych badaczów, że z bagna lekcyj, scholjów i krytycznych teoryj nie mogą najczęściej już przez całe życie wydobyć się na taką wyżynę, z którejby mogli ujrzeć niebo poezji klasycznej i ducha starożytności.

Stopniowo i Bielusz ugrzązł w tem bagnie i, po dwuletniej babraninie, napisał w języku starożytnych rzymian rozprawę kandydacką, która upoważniła go do składania egzaminu na nauczyciela gimnazjalnego, a nawet, wydrukowana w specjalnem piśmie niemieckiem, znalazła wyżej wzmiankowaną sławę.

W rok potem, po niesłychanie mozolnej pracy, z wysiłkiem złożył egzamin i otrzymał posadę zastępcy, na razie z płacą miesięczną 25 zł., po roku 50 zł.

Tymczasem mocno już nadszarpał siły fizyczne. Chudy, szczupły, nierozwinięty, z zapadłą piersią i rozstrojonemi nerwami podjął się dla chleba obowiązków ważnych, wymagających zdrowia, tęgiej woli i niezłomnej energji. I rzecz dziwna! Pomimo nędzy w domu, pomimo obarczenia się lekcjami prywatnemi, których i nadal musiał udzielać, okazał wcale pokaźną energję w zajęciach urzędowych; ale była ona niezdrowa, chorobliwa, była jakimś szczególnym objawem natężania nerwów. Krótka już praktyka w szkole pouczyła go, że kilkudziesięciu chłopaków, skłonnych z natury do nieuwagi i swawoli, pożądających ruchu i powietrza, jak ryba wody, utrzymać się da w karbach tylko żelazną karnością i ciągłem zajęciem. Nie miał tyle rutyny, ażeby zaciekawić przedmiotem, którego uczył, to jest filologją; nie jest to łatwe, zwłaszcza na niższym stopniu nauki; to też wytężył nerwy, ażeby karność utrzymać postrachem. Układał więc surową minę, wyrażał się krótko i oschle, z nauki uczynił narzędzie teroryzowania, wdrażał się do smagania dziecinnych błędów ostrem szyderstwem lub zjadliwym żartem: zamiast być stanowczym, był bez serca i nieubłaganie upartym, biczował notami nietylko za brak postępu, ale także za nieuwagę i swawolę.

Nerwowy nauczyciel bywa ofiarą swego zawodu i katuszą uczniów.

Co u Bielusza wynikło zrazu z chwilowej konieczności, stało się później nałogiem i wyrodziło się do potwornych rozmiarów.

Wskutek jednostajności zajęć i powtarzania co rok jednego i tego samego przedmiotu nauki, wskutek jednostronnego zaciekania się w drobiazgi filologiczne, zamroził się duch w Bieluszu. Stał on się rzemieślnikiem pedagogji i mumją chodzącą starożytności.

Wchodził do klasy nałogowo, jak maszyna, zawsze w jednakowy sposób; mówił, dla zaoszczędzenia płuc, cicho, ostrym, syczącym głosem; zawsze też same miał ruchy, zawsze tak samo powtarzał: „Proszę tłómaczyć, proszę siadać, przepraszam, źle, *silentium*, proszę nie podpowiadać, masz trójkę“. Grozę i przestrach siała ta twarz zmarszczona i chuda, oko szklane bez litości — zdawało się — i współczucia, uśmiech szyderczy i sarkastyczny.

Przyzwyczajenie do groźnego tonu mowy, do dobitności w rozkazach i surowej stanowczości w obejściu z uczniami weszło w taki nałóg, że nie mógł go pozbyć się w stosunkach z rodzicami uczniów i ludźmi od szkoły niezawisłymi. Do wszystkich prze-

dnak tę wadę, że zamiast łagodzić jaskrawość efektów, potęguje jeszcze oślepiającemi sztuczkami sensacyjność sztuki. Na poznańskiej scenie tym samym śladem poszła p. Vernon — *si magna parvis comparare licet* — i w samej rzeczy zadziwiała chwilami kunsztem technicznym. Artystka ta jednak, prócz rażących niedostatków głosowych, posiada tę wadę, że swoje kreacye sceniczne stroi zawsze w koloryt półświatkowy. Ruchy, otwieranie ust, łaszenie się, śmiech i gra oczu czwartkowej bohaterki znamionowały raczej paryzką kokotkę, niż wielkoświatową damę — Paryżankę. Nie była to królowo salonów, lecz heroina z „*Moulin rouge*" i „oddzielnych gabinetów". Gra jej partnera, p. Wostrowskiego, wykazywała również braki dotkliwe pod względem konsekwentnego przeprowadzenia charakteru, co mianowicie w pierwszym akcie psuło wyrazistość postaci, po za tem jednak rozwinął sympatyczny artysta w akcie drugim i trzecim wiele talentu kolorystycznego, a chwilami nawet i siły. Bez zarzutu natomiast wywiązał się z roli kwaśnego tetryka pan Królikowski, który stworzył typ jednolity, zawsze konsekwentny, szczery w każdym akcencie i nie pozbawiony prawdziwego humoru. W rolach charakterystycznych jest to bezwątpienia najwybitniejszy artysta sceny poznańskiej i gdyby nie był zardzewiał i zmanierował się w atmosferze prowincyonalnych teatrzyków, byłby dziś może objął w spuściźnie wawrzyny po stryju swoim, — wielkim Królikowskim. Z ról mniejszych zasługują na względne przynajmniej uznanie p. p. Skóraczewski i Knapczyński. Ostatni jednak jak zwykle stworzył szablon lekkiego amanta bez rysów indywidualnych.

W. R.

Koncert Józefa Śliwińskiego

(dnia 14 lutego rb.)

Po tryumfach warszawskich odwiedził po raz trzeci miasto nasze sławny fortepianista i wystąpił w ubiegły piątek na sali Lamberta. Oddawna śledzę z prawdziwem zajęciem występy naszego wielkiego ziomka, czy to w kraju, czy za granicą, a wszędzie ten sam podziw i zachwyt dla wyjątkowego talentu, to samo uwielbienie, jakie od pierwszego usłyszenia gry artysty dla niego powziąłem. Jestto bez zaprzeczenia mistrz, który tylko z najpierwszymi porównywanym być może; indywidualność zaś i charakter gry jego nie na dorywcze sprawozdanie, ale raczej na specyalną analizę zasługują. Już samo wykonanie olbrzymiego programu, trwającego $2^1/_2$ godziny, jest faktem zdumiewającym i świadczącym o niezwykłej potędze techniki. Nie wyobrażam sobie, żeby to mistrzostwo techniczne dalej posunąć można. Jest tam bowiem wszystko, co natura dać, a człowiek przez wytrwałą i wytężoną pracę osięgnąć może; są wszystkie stopnie siły w uderzeniu; od leciuchnego dotknięcia aż do marcatissimo, wgryzającego się w klawiaturę i wyrywającego stalowemi palcami dźwięki z klawiszów; od subtelnie zaokrąglonych lub sucho urywanych nut staccata, aż do przeciągłych tonów układających i zlewających się w szeroki śpiew. Gimnastyka rąk nie zna granic ani szybkości w biegu, ani odległości i przestrzeni w karkołomnych skokach ani sprężystości w stopniowaniu efektow siły. Wreszcie podziwiać muszę niezrównaną umiejętność zabarwiania dźwięków i artystyczne spożytkowanie farb swej palety, zbogaconej gruntowną obserwacyą i badaniem natury instrumentu.

Wyżej jednak stawiać należy stronę duchową talentu artysty, ujawniającą się w interpretacyi utworów, i o niej pisać należy. W grze p. Śliwińskiego uderza przedewszystkiem poważny i szlachetny styl; artysta wyraża się jasno, przejrzysto: frazes muzyczny oddany zawsze z najzupełniejszą prostotą i naturalnością, bez cienia afektacyi, maniery, bez najmniejszej spekulacyi na oklask tłumu. Wszystko to takie proste i nie narzuca się niczem wymędrkowanem i sztucznem, i to nietylko w utworach, w których prostota stanowi podstawę twórczości, ale nawet i tam, gdzie artysta ma do czynienia z skomplikowaną duszą Chopina lub Schumanna. Ta prostota stanowi dla mnie bodaj czy nie największy urok znakomitego fortepianisty. — Odrębności stylowe każdego autora oddaje artysta tak naturalnie, z taką głęboką prawdą i z tak bezwzględnem poszanowaniem jego intencyi i właściwości, że w duszy naszej nie powstaje ani jeden protest.

Program piątkowego koncertu rozpoczął się Bacha Toccatą i Fugą d-moll. W lapidarnym stylu pisany utwór niedoścignionego kontrapunkcisty, oddany z całą powagą i wzniosłością, głębokie wywarł wrażenie na całem audytorium. Tak samo podniosłe wrażenie odniosłem z wykonania Sonaty Beethovena: les adieux, l'absence, le retour. Wspaniały ten poemat genialnego mistrza uwięził uwagę publiczności, przeważnie polskiej, od pierwszej do ostatniej nuty. Śliwiński dał nam w swej reprodukcyi Sonaty kartkę z własnego życia i odkrył nam stan swej bogatej i poetycznej duszy przy pożegnaniu rodzinnego kraju, dalej ciężkie chwile osamotnienia na obczyźnie, mimo tryumfów, jakie mu wszędzie cudzoziemcy zgotowali, i wreszcie w „Finale" radość przy powrocie między swoich.

Pyszne było wykonanie fantastycznego karnawału Schumanna. Utwory tego kompozytora przypadają w ogólności nadzwyczaj do duszy młodemu artyście i na programach jego po Chopinie najwybitniejsze zajmują miejsce. Charakter muzyki Schumanna jest marzycielski, nieraz mglisty, co chwilę zmienny w duchowym nastroju, to cichy i łzawy, to znów pełen gwałtownych uniesień, wulkanicznych wybuchów, tłumionych namiętności. Znajduje on w naszym artyście najlepszego wykonawcę i ze żyjących młodszych pianistów nie znam lepszego tłomacza Schumanowskiej muzy. Wykonana kompozycya składa się z 22 luźnie powiązanych numerów, którym autor nadał charakterystyczne nagłówki, a ponieważ utwór ten powstał w czasie karnawału 1835 roku i najwięcej scen odnosi się wprost do tego wesołego czasu, przybrał fantazyę ogólną nazwą: „Sceny karnawałowe". Kto posiada duszę czułą i wyobraźnię wrażliwą tego zachwycą barwne

---

mawiał w tonie pouczajacym i rozkazującym. Ponieważ, wobec uczniów, wydawało się rzeczą pedagogiczną zachować niedostępność, surowość i pedanterję, ponieważ przyzwyczaił się do podejrzliwego wykrywania wśród uczniów drobnych wad i przewinień, przeto w obejściu ze wszystkimi stał się podejrzliwy, niedostępny, do śmieszności drażliwy i pedantyczny.

Zmęczony czterogodzinnem zazwyczaj zajęciem w szkole, natężającem nerwy, mózg i płuca, wysilone mową, a nieodżywiane świeżem powietrzem, wracał do domu, gdzie zastawał biedę, brud, nieład, chłód i swary.

Nie uciekał jednak z domu, jak w podobnem położeniu inni czynili; zaszywał się w kąt koło biurka, między zeszyty i książki, i poprawiał, poprawiał błędy gramatyczne uczniów, dodawał opuszczone przecinki i podpisywał noty. Kładł się potem do łóżka, zziębnięty i z sił wyczerpany, na pastwę burzącej się natury fizycznej, tak okrutnie gwałconej, na pastwę rozigranych nerwów i wyobraźni, która w spokoju dopiero poczynała wygrywać nieharmonijną swą symfonję. Tak mrówek kopiec, gdy go chłopak kijem rozgrzebie, burzy się, kotłuje i na wszystkie strony rozłazi. Serca bicia już nie miewał, zbyt osłabione było, ale za to uczuwał jakieś darcie w czaszce, jakby kto nerwy i włókna w niej rozrywał, potem obrazy i barwy zaczynały latać i kręcić się, jak w obrazkach świetlnych, potem następował stan pół snu, pół jawy, i myśl jedna goniła drugą w jakiemś samowolnem rozpasaniu: to poprawiał zeszyty i czynność ta trwała — zda się — bez końca, to siedział w klasie na katedrze i uczył, i serce mu ściskało się, że uczniowie nic nie umieją, i rozpacz w piersi powstawała wielka, jak burza, bo widział, że ci mali drwią sobie z niego, śmieją mu się w oczy, przyskakują do niego, biją go, znęcają się....

Usypiał wreszcie, ale słabo, słyszał szmery najlżejsze, kaszel siostry, jakieś gryzienie myszy, czy szczura, czuł przez sen ból, jak ogień, który mu wyżerał resztę mózgu.

Taki bywał spoczynek Bielusza.

Charski wiele szczegółów z tego życia musiał uzupełniać, najwięcej jednak sam Bielusz opowiedział mu głosem suchym, obojętnym prawie, nieco przytłumionym, jakby o rzeczach koniecznych mówił i naturalnych, bez skargi i narzekania. Z każdego słowa i z tonu czuć było silne przekonanie, że tak być powinno. Tylko w duszy Charskiego te sztywne i mroźne słowa wywoływały dźwięk głębokiego współczucia.

— Teraz ci już lepiej — mówił — masz sto złotych miesięcznie, jesteś sam jeden, mógłbyś co rok na wakacye wyjeżdżać, ażeby się przewietrzyć, nowych wrażeń doznać, siły zebrać.

— Nie mogę, nie mogę, *mi amicissime*. A mój komentarz do Plauta? A spłata długów?

— Powinieneś podać się o urlop, stypendyum, wyjechać na rok za granicę, do Grecyi, do Rzymu?

— Ach, co ty mówisz? Urlop, stypendyum? To nie dla nas biedaków! O urlopie ani marzyć! U nas brak dwóch nauczycieli i po kilka godzin nadliczbowych w tygodniu mamy zastępstwa!

— Powinieneś się ożenić.

— Ożenić się? Ja? Ożenić się? *Uxorem ducere?* Białogłowę znowu brać do domu? Po co? Na co? Kadzidło umarłym nie pomaga, jak mówi przysłowie. A coby władze na to powiedziały? Władze krzywo się patrzą na takie rzeczy i słusznie, bardzo słusznie, bo to wydatek i dla nauczyciela i dla państwa, a nadto nauczyciele powinni pod każdym względem dawać dobry przykład młodzieży, zwłaszcza w moralności i powściąganiu się od uciech światowych.

— Ależ mój drogi, odżyłbyś, odmłodniał przy poczciwej żonie, a może jeszcze przy figlarnych „błazenkach", jak powiada nasz Rej.

— Nie wolno mi, nie wolno, nie! Mam dzieci w szkole, mam i tu u siebie *filium*, chociaż nie własnego. Prawda, zapomniałem o nim. Czekaj, pokażę ci, jak go surowo i w karności wychowuję.

To mówiąc, zaprowadził Charskiego w kąt pokoju i podniósł jakąś szarą zasłonę, za którą odkryła się ciemna alkowa.

— Władysławie! — zawołał Bielusz.

— Słucham pana profesora — odezwał się głos pokorny.

— A co ty robisz?

— Siedzę przy stole i powtarzam sobie wyjątki, jak mi pan profesor kazał.

— Po ciemku?

— Bałem się zapalić lampę.

te, w genialnem zestawieniu co chwile jak w kalejdoskopie zmieniające się obrazy. Wre tam i kipi życie i wesołość, okraszone prawdziwym humorem; i tak obok ociężałego i medytującego „Pierrot'a" skacze jak iskierka „Arlequin"; dalej znów pędzą szaleni „Davidsbündler" (taką nazwą ochrzcił autor ówczesnych postępowców między młodemi muzykami) i biorą szturmem zacofanych w starej szkole „Filistynów", których znów autor staroświecką niemiecką piosnką: „Als der Grossvater die Grossmutter zum Tanze nahm" charakteryzuje; tu znów z dźwięcznych arpedżii wysuwa się melancholijny profil Chopina, tam demoniczna postać Paganiniego; w komicznych podskokach przesuwa się przed nami uśmiechnięta „Stara kokieta"; tam znów wyłania się szlachetna twarz „Klary" żony kompozytora; w „Florestanie" i „Eusebiuszu" odtwarza nam autor własny wizerunek duszy, w pierwszym namiętność, w drugim marzycielską tęsknotę oddając: z ukrycia dolatują nas szepty miłosne „Wyznania" a dalej trudno oderwać oko od świetnej „Promenady" fantastycznie przybranych masek. Nad tem wszystkiem rozlał autor taki wyjątkowy czar poezyi, szczerego uczucia i humoru, że mimo obawy samego kompozytora, jakoby przeciętna publiczność nie zdolną była utworu tego w całości pochwycić, ponieważ zbyt szybko obrazy i nastrój się zmieniają, kompozycya ta stała się ulubienicą muzykalnie wykształconej publiczności i wciąż zyskuje sobie nowych przyjaciół.

Świetne było też wykonanie tego utworu tak w szczegółach jak i w całości i wątpię, czy posiadamy drugiego artystę, któryby nam te poetyczne obrazy z takiem przejęciem się, z takiem życiem i humorem potrafił przedstawić jak Śliwiński.

Każdy nowy występ wirtuoza zaznajamia nas z jakimś nowym rysem dojrzałości tej wyjątkowej i tak bogatej organizacyi artystycznej. To też posiadając wszelkie warunki, jak do krańcowości wykończoną technikę, nie znającą żadnych zaporów, rozporządzając nadto nadzwyczajną śpiewnością tonu, uczuciem głębokiem i poetycznym polotem, a wyssawszy z piersi matki — Polki boleść i smutek jest Śliwiński niewątpliwie wybranym i najwięcej powołanym tłomaczem nieśmiertelnych poematów muzycznych naszego Chopina.

Głęboko odczuta skarga zbolałej duszy drgała też w nokturnie c-moll op. 48, słodka melancholia i tęsknota wiała z Walca cis-moll, tajemniczy nastrój Mazurka op. 17 nr. 4 przypominającego w początkowej części i zakończeniu tonacye kościelne nie przebrzmiał jeszcze a już huczała jak potok górski Etiuda a-moll op. 25. Wspaniałe było wykonanie gigantycznej Sonaty Chopina op. 35. Genialny ten utwór rozpoczyna się krótkiem Grave, co jak jęk wyrywa się z rozdartej duszy, dalej następuje namiętnością dyszący pierwszy temat wijący się w różnych tonacyach przez 28 taktów i przerwany na chwilę przez cudną kantylenę w Des-dur, która jak prawdziwy balsam na zbolałą duszę artysty i słuchacza spływa. Drugi ustęp Scherzo — potęguje znacznie artystyczną wartość utworu i maluje z prawdziwą i strachem przejmującą grozą sceny na starem cmentarzysku w noc burzliwą i ciemną. Prawdziwy to taniec szkieletów przy akompaniamencie rozszalałego wichru, grzmotów, wołania puszczyków i przejmujących jęków. Trzecia część to sławny Marsz pogrzebowy... Biją dzwony... w głuchem milczeniu zbliża się ponury orszak... wolno... ciężko idą, niosą trumnę a w niej złożył całe swe szczęście, co najdroższego posiadał mistrz nieśmiertelny. Jak anioł pociechy spływa z cicha melodya w Des-dur i na krótko odrywa nas od obrazu ponurego, przerzucając myśl w zaświatowe sfery... ale znów wraca zimna konieczność a z nią smutek co żre i rwie za zbolałe serce jak sęp krwi chciwy.

...„Porwał mnie wir zawieruchy,
Przodem lecą krwawe duchy."

Nad świeżym grobem wiatr tumany zeschłych i pożółkłych pędzi liści, tajemnicze jakieś szepty i jęki urwane, to znów przeciągłe jak wycie wichury dochodzą naszych uszu i budzą uczucia dziwne w piersiach słuchaczów.

Mamże dodawać, że Śliwiński utwór ten odegrał wspaniale? Pod dotknięciem jego palcy fortepian płakał, marzył, jęczał, przeklinał, a chwilami huczał tak jak wicher jesienny.

Na zakończenie dorzucił nam artysta śliczne Impromtu Schuberta B-dur op. 142, dalej charakterystyczną Prząśniczkę Mendelsohna, w której rozbiegane palce zdumiewały szybkością a temperament muzykalny uwydatniał się w rytmie; w miejsce zaś na programie umieszczonego Walca Rubinsteina odegrał Śliwiński Liszta Valse-Impromptu. Zmianę tę zauważyli wszyscy, prócz pociesznego krytyka Dziennika Poznańskiego. Wreszcie ozwała się Liszta Tarantella: „Venezia e Napoli", w której raz jeszcze mistrz zajaśniał brawurą i dzielnością gry niezrównanej, imponując tak siłą ręki jak lekkością i powiewnością w grze odbijanej.

Słuchacze olśnieni subtelnie wykończoną i porywającą grą artysty, dziękowali hucznemi oklaskami za każdy numer programu. Niemiecka i polska krytyka fachowa, z wyjątkiem Dziennika poznańskiego, oddaje wielkiemu artyście najwyższe pochwały. Krytyk „Dziennika poznańskiego" popisał jak zwykle stek dziwolągów i herezyi artystycznych i stanął nawet w rażącej sprzeczności z pierwszą swą oceną gry Śliwińskiego (zob. nr. 289 Dziennika pozn. na rok 1891) i w jaskrawej niezgodzie z prawdziwym stanem rzeczy. Jestem aż nadto przekonany, że niestósowna ta ocena artysty tej miary, co Śliwiński, nie popsuje mu humoru, i że nie długo znów do nas zawita, aby dźwiękami Chopina i Schumanna oderwać nas daleko od szarej prozy życia codziennego.

Edwin Jahnke.

— Dobrze chłopcze, ucz się, ucz, ja ci zapalę.

Dla zapalenia lampy Bielusz wszedł do alkowy, a Charski pogrążył się w rozmyślaniach pedagogicznych.

Po powrocie filologa dowiedział się Charski, że chłopak już przez pięć godzin siedzi nad książką po ciemku, bo mu wstać od stołu bez pozwolenia nie wolno; było to dowodem karności w wychowaniu.

— Widzisz, gdyby mnie tak wychowywano, oszczędzonoby mi wielu przykrości i ciężkiej walki, którą musiałem staczać z samym sobą, ażeby się przyzwyczaić do ścisłego wykonywania obowiązków zawodowych.

— Alęż ty go męczysz, katujesz, ty tłumisz w nim swobodę myśli i uczuć, ty robisz z niego niewolnika, istotę bez zdolności do samodzielnych czynów, bez energii do do życia, ty go zabijasz fizycznie i moralnie! — wołał Charski.

— Przepraszam — odrzekł Bielusz — przesadzasz, nie znając się na pedagogii, ani dydaktyce. To, co ty nazywasz zabijaniem fizycznem i moralnem, ja zowię wychowywaniem i kształceniem. Organizm chłopca powinien zawczasu przyzwyczaić się do siedzącego życia i poskromić się, ażeby nie wybujał zbytecznie i nie zmateryalizował człowieka. Toż samo należy uczynić z duchem, który powinien być zawczasu poskromiony, ażeby nie porywał się gwałtownie do walki. To zasada wychowywania i na niej opiera się potęga dzisiejszych społeczeństw.

Nic na to nie odrzekł Charski czując, że ma do walczenia z zastarzałem i silnie wkorzenionem dziwactwem. Bielusz tymczasem wezwał chłopaka.

Stawił się biedaczysko lat dziesięciu, szczupły, mizerny, z zapadłą piersią, bladą cerą, o podsiniałem oku i ze drżeniem czekał, czy go jaka nagana nie spotka.

W ogólnem zamieszaniu zapomniany od południa nic w ustach nie miał.

Posiliwszy się nieco i wypiwszy pół kieliszka wina, które mu Charski, wbrew energicznym protestom Bielusza, przemocą wlał w usta, chłopczysko ożywił się i dość przytomnie odpowiedział na pytanie: ile ma lat i kiedy mu zmarli rodzice. Nie umiał jednak odpowiedzieć, z jakiego drzewa stół jest zrobiony, jak i z czego robi się szkło, chleb i odzienie.

Za to na wezwanie Bielusza, wyrecytował znakomicie: „piscis, lapis, pulvis, cinis", i przyimki łacińskie, rządzące czwartym przypadkiem, ułożone w heksametr.

Bielusz uściskał go z radości. Charski smutno zwiesił głowę, ale się wnet rozpogodził, bo mu w myśli stanął nizki, ale rumiany i chwacki Jurek, który nie zna wyjątków, ale za to gimnastykuje się zwinnie, pływa, jak ryba, na wycieczkach poznał znaczną część Galicyi, umie wiele pięknych rzeczy opowiadać i deklamować, a w szóstym roku życia wiedział już, z czego i jak szkło i chleb się robi.

W godzinę potem obaj przyjaciele ułożyli się do snu. Bielusz zasnął snem twardym, jakiego od dawna nie miał; Charski prawie całą noc nie zmrużył oka. Różne myśli natłokiem i natrętnie kłębiły się w jego mózgu, myśli smutne, niemal rozpaczliwe; jeden szczególnie obraz tkwił mu dziwnie uporczywie w wyobraźni: praca Syzyfa. Głośne chrapanie filologa wydało mu się łoskotem, jaki sprawiał kamień, co chwila zsuwający się z góry, na którą go Syzyf dźwignął. Gdy usnął nad ranem, zbudził go wesoły i rzeźwy głos przyjaciela:

— *Surge amice!*

Upłynęło kilka tygodni od tego czasu. Po moralnem i fizycznem wstrząśnieniu, wracał Bielusz do dawnej równowagi i zwyczajnego dziwactwa.

Raz w nocy, około godziny 11-ej po męczącym dniu, siedział jeszcze nad stolikiem swoim przy lampie i poprawiał zeszyty, potem czytał z pierwszych ksiąg Liwjusza o wybudowaniu Rzymu. Czytał i myślał o podróży do Włoch. Na dworze była zawieja i deszcz pluskał o dach i szyby. Aż oto wszedł znowu do smutnego domu profesora Charski, rzucił się przyjacielowi w ramiona i... co za radość!... położył mu na biurku, tuż pod lampą, papiery, ale jakie papiery! Cała dusza rozradowała się w Bieluszu, gdy przeczytał, co one zawierały, nie mógł powstrzymać wybuchu radości, łzy rzęsiste rzuciły mu się z oczu, przypadł do kolan Charskiego i, łkając, wołał:

— Dziękuję ci, dziękuję sto razy mój dobry przyjacielu. Ty przeczułeś, co mnie wyleczyć może. W nędzy, w zaparciu potrzeb ducha i ciała, byłem niewolnikiem samego siebie, zdziczałem i zdziwaczałem, bo odjęta dla mnie wszelka radość życia i wszelka swoboda myślenia, mówienia i poruszania się;

SZKOŁA I WYCHOWANIE.

Nauka języka niemieckiego w Galicyi.

(Dr. Antoni Danysz: Reforma nauki języków nowożytnych, a początkowa nauka języka niemieckiego w szkołach średnich galicyjskich. Kraków 1895.)

Toczący się od lat kilkunastu pomiędzy starszą a młodszą generacyą pedagogów spór o sposób nauki w średnich i wyższych zakładach naukowych nie został dotąd ostatecznie rozstrzygniętym. Zaprowadzone w Austryi i Niemczech reformy przemawiają wprawdzie za tem, że w kołach miarodawczych przekonano się o wadliwości systemu humanistycznego, który mając na oku wyłącznie ogólne kształcenie umysłu, zaniedbuje prawie zupełnie stronę praktyczną, ale nie mogą jeszcze uchodzić za zwycięstwo realistów i ani w przybliżeniu nie odpowiadają potrzebom czasu. Teoretycznie metoda humanistyczna tak samo może być uprawnioną jak realistyczna: w praktyce jednakże przedstawia się sprawa tak, że w gimnazyach naszych humanistycznych, wysyłających w świat rokrocznie mnogie zastępy młodzieży z głową zapchaną gramatyką grecką, łacińską i francuską i matematyką teoretyczną, a bez wiadomości praktycznych, któreby odrazu można zużytkować w życiu, należy szukać pierwotnego źródła naszego uczonego i niedouczonego proletaryatu.

Niekorzystniej jeszcze przedstawia się rzecz w Austryi, a specyalnie w Galicyi. Należy tam do „języków obcych", wykładanych dotąd przeważnie według metody humanistycznej, język niemiecki, każdemu nieodzownie potrzebny w życiu praktycznem, mianowicie też politycznem, a skutek używanej dotąd metody jest taki, że dzisiejsza młodzież zna wprawdzie wszystkie reguły i wyjątki gramatyki niemieckiej, ale w języku tym ani pisać, ani wysłowić się należycie nie potrafi. Poruszano sprawę tę niejednokrotnie w pismach i książkowych publikacyach, długi czas bez skutku. Zeszłego roku nareszcie założono we Lwowie osobny zakład naukowy z wyraźnym celem zbadania i wypróbowania stawianych propozycyi. Na kierownika tej szkoły doświadczalnej powołano ziomka naszego, rodem z Poznania dr. Antoniego Danysza.

Nominacya ta nie jest przypadkową i uprawnia do nadziei, że kwestya nauki języka niemieckiego w szkołach galicyjskich zostanie ostatecznie pomyślnie rozwiązaną. Dr. Danysz jest autorem krótkiej, ale treściwej broszurki, zawierającej pogląd na nieznane dotychczas metody nauki języków obcych i praktyczny program żądanej powszechnie reformy. Zalicza się on do umiarkowanych realistów, nie odrzuca bezwzględnie metody humanistycznej, jak zwolennicy reform radykalnych, lecz pragnie pogodzić obydwa systemy i przyznaje każdemu należne mu miejsce.

Myśl zasadnicza, na której dr. Danysz opiera swój program, zgadza się zupełnie z żądaniami reformatorów. Wymaga on, aby dziecko nie uczyło się języka pisanego, lecz mówionego, nie podręcznika za pośrednictwem nauczyciela, lecz z ust nauczyciela z pomocą książki. Nauczyciel powinien dzieci zapoznać ustnie z otaczającemi je przedmiotami, nauczyć je rozumieć słowo mówione, powtórzyć je i tworzyć własne zdania. Srodkami do tego mają być stosownie utworzone podręczniki, z których uczniowie uczą się początkowo na pamięć poszczególnych ustępów, wytłomaczonych i objaśnionych poprzednio przez nauczyciela, aby przyswoić sobie pewien zasób słów powiązanych w zdania a należących do jasno ograniczonego grona. Później ma dziecko bajkę, anegdotę lub opis, którego nauczyło się na pamięć, opowiedzieć, jak umie, własnemi słowami, bez względu na to, że w opowiadaniu nie ustrzeże się błędów. Za bardzo korzystne uważa dalej autor obrazy, jakich używa się także w szkołach pruskich. Mają one służyć za substrat plastyczny do ćwiczeń językowych, przyzwyczaić dziecko do tworzenia zdań własnych i własnych opisów. Natomiast tłomaczenie języka obcego na ojczysty i na odwrót, które dziś stanowi we wszyszkich szkołach jądro nauki, uważa dr. Dauysz za wprost szkodliwe, twierdząc słusznie, że nuży tylko umysły młode, a nie wydaje żadnego owocu, Wchodzi tam bowiem w rachubę wprost przeciwna składnia, z którą początkujący, jak uczy doświadczenie, rady sobie dać nie umie.

Cwiczenia piśmienne radzi dr. Danysz zatrzymać; ale zastosować zupełnie do nauki ustnej: od dyktatu wyuczonego na pamięć ustępu przechodzi zwolna do opracowania tegoż własnemi słowami. Gramatyka teoretyczna zajmuje u niego drugie miejsce; żąda on, aby nauczyciel zapoznawał dzieci z poszczególnemi regułami dopiero wtenczas, kiedy nauczyły się ich bezwiednie używać w praktyce, a nie zmuszał ich do pamięciowego uczenia się oderwanych przepisów, których nie zdołają rozumieć. Przedewszystkiem zaś powinien wszędzie i zawsze pamiętać o tem, że podstawą całej nauki jest język mówiony; kto nauczył się mówić po niemiecku, nauczy się także bez nadzwyczajnego trudu pisać i rozumieć pisane ustępy. Dziś jak wiadomo dzieje się wprost przeciwnie.

Przeprowadzeniu tego programu stoi obecnie na przeszkodzie brak fachowych nauczycieli języka niemieckiego i nierówność nauki przygotowawczej. Zaradzić pierwszemu od razu niepodobna; celem usunięcia drugiej a ważniejszej jeszcze niedogodności radzi dr. Danysz zakładać, gdzie się da, przy szkołach średnich klasy przygotowawcze, w którychby dzieci nauczyły się według racyonalnej metody pierwszych początków języka.

Wszystkich szczegółów programu powtórzyć tu niepodobna: trzebaby przedrukować całą prawie broszurkę. Podnieść nam jeszcze tylko należy, że praca dr. Danysza oparta jest nie na rozumowaniu, lecz na spostrzeżeniach długoletniej praktyki. Nie chodzi autorowi o utworzenie i uzasadnienie własnego, oryginalnego systemu, lecz o to jedynie, aby w sposób jak najłatwiejszy nauczyć dziecka obcego a potrzebnego mu języka. Nie zaszkodziłoby pruskim pedagogom najnowszej daty, gdyby przeczytali z uwagą jego broszurkę i zastosowali ją w praktyce. Oszczędziliby dziatwie naszej wiele łez i trudu, a mieliby pewno pociechę, że praca ich nie poszłaby na marne, lecz na korzyść młodej generacyi.

Morna.

---

spokorniałem, bo mnie życie bez litości ciśnie. Na dnie duszy miałem jedno pragnienie: marzyłem o tem, ażeby gdzieś na dalekim świecie, na jakich wysokich górach, wśród jakich lasów południowego słońca, między kolumnami z marmuru, nad grobami Micen i Troi, na wzgórzu Kapitolińskiem orzeźwić i podnieść serce. *Sursum corda*, chciałem zawołać. Nie mogłem, długo, długo czekałem napróżno. Aż oto ty, mój bracie najlepszy, choć nic ci nie mówiłem, przeczułeś dziwnym cudem moje marzenia. Przywiozłeś mi urlop, na dwa lata urlop i stypendyum na podróż za granicę. Co za radość? Jakie szczęście! Więc na własne oczy zobaczę Ateny i Maraton i popłynę drogą, którą płynął Ulisses i pomarzę nad grobem Vergilego i zobaczę kodeksy bibljoteki watykańskiej. Mój Boże! tego szczęścia nie ogarnę, nie wysłowię, może nie przeżyję.

I gdy tak płakał i dziękował, obejmując kolana Charskiego, nagle płomień buchnął na biurku. Bielusz zerwał się, krzyknął z rozpaczy i trwogi, bo papiery, świeżo położone, zaczęły płonąć, a Charski śmiał się obojętnie i ironicznie....

Bielusz obudził się. Wszystko snem było. Tylko wicher wiał za oknami i deszcz chlupał na dach i w szyby, a lampa, z braku nafty, smutno dogasała.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Medycyna ludowa i domowa.

(Odezwa.)

Komitet hygieny ludowej postanowił na tegorocznej wystawy hygienicznej w Warszawie przedstawić obraz obecnego stanu kraju pod względem zdrowotnym w osobnem dziele, które pomieścić ma i medycynę ludową. Choroba według pojęć naszego ludu jest istotą rzeczywistą, choć niewidzialną, albo czarem, urokiem zadanym przez złego człowieka. Przy leczeniu więc lud stosuje środki specyficzne, antydoty, posiadające moc magiczną usuwania choroby (np. barwinek przeciw kołtunowi) albo chroniące od czarów i odczyniające je, jak: zażegnywania, zamawiania itd. Do leków mistycznych zaliczyć należy egzorty dla wypędzenia djabła i sił nieczystych, przypominające czasy średniowieczne. Pojęcia powyższe uważać można za samorodne, odziedziczone z czasów przedchrześciańskiej starożytności. Są one w powinowactwie z niektóremi wierzeniami przyrodniczemi ludów pierwotnych; niejedne z nich przeniesione zostały ze wspólnego źródła indyjskiego. Ulegają one dziś zapomnieniu i zastąpione zostają szybko przez pojęcia z medycyny rozumowej.

Osobny dział medycyny ludowej stanowią środki, których skuteczność stwierdziło doświadczenie, u więc działające mocą swych własności leczniczych bez wpływu potęg nadprzyrodzonych. Niekiedy tylko lud przy ich użyciu zastrzega czas przyjmowania, odmawia modlitwy itd. Srodki te przeszły do ludu od duchowieństwa, dworów i lekarzy dawniejszych, z ksiąg Siennika, Syrenjusza i t. d.; wiele jednak wiadomości o nich jest dziedziczną własnością ludu, przechowującą się od czasów niepamiętnych w tajemniczej mądrości znachorów.

Inteligencya nasza posiada także swoją medycynę, mającą do pewnego stopnia pokrewieństwo z ostatnim działem medycyny ludowej. Jak tam, tak i tu panuje gruby empiryzm, tylko, że wiadomości są pewniejsze. Dawne *silva rerum* i kalendarze przepełnione były przepisami lekarskiemi, mającemi do dziś zastosowanie w wielu domach, szczególniej po wsiach.

Narówni z podaniami, klechdami, zwyczajami, obyczajami i poezyą ludu medycyna ludowa stanowi ważny przyczynek do ludo-

znawstwa wogóle. Wiele też środków ludowych przeszło do skarbca medycyny praktycznej (*adonis vernalis, convallaria majalis, nympha lutea* i t. d.), a wiele jeszcze przejdzie po bliższem zbadaniu ich naukowem.

Dotychczasowe usiłowania u nas przy zbieraniu materyału z medycyny ludowej spełzły na niczem. Na rozesłany w r. 1890 kwestyonaryusz dra Sterlinga, przedrukowany następnie przez „Wisłę" i „Wiek" nadesłano do redakcyi „Zdrowia" dziewięć (!) odpowiedzi, a z tych trzy z Królestwa. Jaki będzie wynik po rozesłaniu kwestyonaryusza przez komitet hygieny ludowej tegorocznej wystawy hygienicznej, trudno przewidzieć. Otóż raz jeszcze zwracamy się za pośrednictwem pism naszych, do tych, którym dobro ogólne i dobro nauki nie jest obojętne, z prośbą o jaknajobfitsze dostarczenie materyału, a w szczególności do kobiet polskich, które od wieków zajmowały się leczeniem ludu, były niegdyś, i są dziś serdecznemi jego opiekunkami w najcięższej niedoli — w chorobie, a przytem najlepiej znają medycynę ludową.

Mamy przytem nadzieję, że szanowne panie nadeślą także wiadomości o wszystkich sposobach i środkach przez siebie używanych, choćby nawet w tym rodzaju, jak noszenie trzech kasztanów w kieszeni (od reumatyzmu). Lekarstwem bowiem, w obszernem znaczeniu tego wyrazu, może być wszystko, co w danym wypadku działa dobroczynnie na chory ustrój, na chore życie, a więc najróżniejsze czynniki mechaniczne, chemiczne, fizyczne, pokarmy i dopiero w ostatnich czasach bliżej objaśnione wpływy psychiczne. Największe znaczenie w doniesieniach mieć powinne — obok wierzeń, przesądów, praktyk różnego rodzaju przez lud stosowanych — wiadomości o lekarstwach właściwych (zwierzęcych, roślinnych, mineralnych), a to ze względu na przyszłe nad niemi badania naukowe. Materyał nadesłany, po zużytkowaniu go, złożony zostanie w warszawskiem Muzeum etnograficznem. Jakkolwiek forma doniesień może być dowolna, to jednak upraszamy o pomieszczenie: 1) miejsca spostrzeżeń, 2) kto i gdzie zajmuje się leczeniem (oprócz lekarzy), 3) nazwy ludowe chorób i pojęcia ludu o chorobach i ich przyczynach, 4) badanie chorych i metody leczenia, 5) środki (lekarstwa) używane tak przez lud, jak przez klasy więcej oświecone. Pożądanem byłoby nadsyłanie środków mniej znanych, jakoteż starych podręczników, przepisów przechowywanych i odziedziczonych, wyciągów ze starych kalendarzy, notatek rodzinnych, pamiętników itd. (pod opaską). O nadsyłanie odpowiedzi prosimy pod adresem: Fr. Rajkowski, Ciechanów, stacya kolei nadwiślańskiej. Przedmioty zaś: Zarząd wystawy hygienicznej w Warszawie, biuro budowlane magistratu.

Upraszamy przytem wszystkie pisma polskie o przedrukowanie niniejszej odezwy".

Warszawa, d. 3-go lutego 1896 r.

Rajkowski.

NA WYŁOMIE.

(Przebudzenie sie „Dziennika Pozn." — Charakterystyczne milczenie. — Zwrot ku lepszemu.)

Jest jedno pismo na bruku poznańskim. którego artykuły mają tę zaletę czy wadę, że rzadko tylko ich narodzinom towarzyszy wrzawa polemiczna. Ludzie czytają te i owe bibuły — chwalą lub ganią, syczą lub klaskają, pod niebo wynoszą lub nogami depcą. — lecz „Dziennik Poznański" tylko w wyjątkowych wypadkach rozpala umysły, budzi „za i przeciw", interesuje, gniewa lub entuzyazm rodzi. Co najwyżéj, gdy jaki recenzent koncertowy palnie kilka głupstw piramidalnych o grze Śliwińskiego, wtedy ludzie pokazują sobie po cukierniach to wielkie *curiosum*, drwią jadowicie lub salwami śmiechu napełniają lokal. Lecz artykuły polityczne i społeczne „Dziennika" wrzawy nie budzą. Cisza je wita i giną zaraz w dniu swoich urodzin, a nikt im nawet honorowego pogrzebu nie sprawi. Przyczynę tego dziwnego fenomenu nie trudno odgadnąć, bo „najpoważniejszy organ zaboru pruskiego" więcej interesuje się Chinami i Madagaskarem niż analizą rodzimych stosunków, a jeżeli istotnie głos zabiera w palących sprawach miejscowych, wtedy zwykle ilustracye jego wyglądają tak blado i mglisto jak *ciało ludzkie* na fotografiach Rontgena.

W najświeższych czasach jednak zmieniła się sytuacya. W łamach „Dziennika Poznańskiego" pojawiła się serya artykułów sygnowanych literami „M" i „D", które w mieście i na prowincyi powszechną wywołały sensacyę. Mówiły one o naszym przemyśle i handlu, o naszych przymiotach i wadach, o naszym rozwoju i warunkach jego, o sanacyi organizmu narodowego i całym szeregu środków zaradczych, a, — co więcej, — mówiły śmiało, chwilami niemiłosiernie i zapuszczając sondę w ropiejące rany miały odwagę nazywać rzeczy po imieniu bez względu na uświęcone listki figowe i interes koteryi. Zaiste! rzecz niezwykła w „Dzienniku Poznańskim". Więc nie dziw, że jak zabór pruski długi i szeroki, szedł zrazu głuchy szmer przyjemnego zdziwienia, o potem zabrzmiały echa nietylko w prowincyonalnej lecz nawet galicyjskiej prasie. Poczęto się sprzeczać, zapalać, cytować poglądy głoszone, i „Dziennik Poznański" był na ustach wszystkich. Ktoś złośliwy nawet powiedział, że w tych kilkunastu artykułach było więcej żywotnej treści niż w całym roczniku.

Zdaje mi się, że „Wielkopolanin", cytując niektóre ustępy artykułów Dziennikowych, ze swej strony załączył uwagę, że głosy podobne odzywały się już dawno w prasie poznańskiej. Komentarzowi temu słuszności odmówić nie można. Artykułom zgotowała powodzenie nie tyle treść sama, ile miejsce ich wypowiedzenia — i kazanie byłoby prawdopodobnie przebrzmiało bez echa, gdyby amboną nie był „Dziennik poznański", ten najstarszy, najpoważniejszy, a w ostatnim lat dziesiątku tak zagasły i wyblądły organ zaboru pruskiego. Zdziwiono się jego przebudzeniem, zdziwiono się, że staruszek tak jędrnie, tak młodzieńczo przemówił.

Jest jedno pismo w Poznaniu, które lwią część poglądów wypowiedzianych przez panów M. i D. w „Dzienniku poznańskim", już niejednokrotnie prezentowało społeczeństwu naszemu. Ale niestety jest to organ wyklęty, więc chociażby nawet podał plan odbudowania Polski — Jezus Marya! przepraszam, przypomina mi się Bojko i Jordan, — chociażby nawet (poprawiam się) obmyślił sposób cudowny, aby naród nędzarzy w naród milionerów zamienić, to słowa jego powitanoby w wszechwładnej prasie konserwatywnej głuchem milczeniem lub wzdrygnięciem ramion. Może później jednak plan „wyklętego" podniósłaby którakolwiek trybuna „ładu i porządku" i wysławszy go w świat szeroki z własną etykietą i pod własną firmą zgotowałaby mu popularność, rozgłos i sławę. Tym „wyklętym" jest „Orędownik", na którego program polityczny *en bloc* zgodzić się nie możemy i z którym nieraz skrzyżowaliśmy szpady po rycersku, ale któremu z całą otwartością oddajemy tę sprawiedliwość, że w dziedzinie naszych stosunków społecznych, a mianowicie w dziedzinie pracy organicznej, niejednokrotnie wielkie zapalał światła i mnóstwo ziarn zdrowych rozsypał na ojczystej roli. Żadne pismo poznańskie nie poświęca tyle uwagi miejscowym stosunkom, ile właśnie naczelny organ ruchu ludowego, a w sprawach naszego przemysłu i handlu, naszych stowarzyszeń, naszej walki o chleb, naszych przymiotów i wad narodowych, on najodważniej, najlogiczniej i najgłębiej z wszystkich dzienników rozpatrywał stosunki zaboru pruskiego. Ale „Orędownika" się nie cytuje, — to stało się dogmatem prasy konserwatywnej. Ogół abonentów bowiem nie powinien wiedzieć, że po za „ładem i porządkiem", w namiotach przeciwnego obozu są także ludzie talentu i rozumu, którzy trzeźwo patrzą na położenie nasze i sypią umiejętnie ochronne okopy. Ale niekiedy zbiera „ład i porządek" ukradkiem piórka obcej mądrości i zmieniwszy nieco ich formę zręczną apreturą paraduje przed publicznością w pożyczanym stroju.

Mówiąc ogólnikowo o tych charakterystycznych pożyczkach, nie chcę przez to powiedzieć, że panowie M. i D. należą do lubowników cudzego stroju, — w tym wypadku może to być podobieństwo przypadkowe a rozprawy ich fabrykatem orginalnym, — poczuwam się jednak do obowiązku zapisać tu raz jeszcze fakt, że podobne ich artykułom rady i poglądy pojawiały się już oddawna w „Orędowniku", lecz dla zabójczego milczenia prasy zachowawczej nie zwróciły uwagi szerszych kół społeczeństwa. Nie wypływa też z tego, abym nad „Dziennikową" analizą stosunków naszych nie stawiał żadnych znaków zapytania, — przeciwnie pismo nasze zakwestyonowało już przed kilku tygodniami jeden z projektów pana M., a w dzisiejszym numerze polemizuje z panem D., — uznaję jednak chętnie, że owe „Rozmyślania na czasie", badania nad „Rozwojem produkcyi przemysłowej" i t. d., zawierają mnóstwo trzeźwych poglądów i śmiałością swoją budzą otuchę, że nadeszła chwila zerwania z zasadą tej nieznośnej maskarady społecznej, która w społeczeństwie naszem od lat kilkunastu dominującą odgrywa rolę. Być może — przepraszam za samochwalstwo — że to detronizowanie królowej Obłudy jest w pewnej części zasługą „Przeglądu Poznańskiego", który od pierwszej chwili zmywał bielidło i róż z oblicza społeczeństwa i gasił blaski fałszywe. Ale „ład i porządek" tego nam nie przyzna, bo i my jesteśmy podobno wyklętym organem.

Sulla.

TO I OWO.

W obronie mundurów sokolskich.

Jakiś pan D. w „Dzienniku Pozn.", — pan, któremu zresztą zdrowego krytycyzmu odmówić nie można, — tak z gruntu znienawidził polskie zamiłowanie do blichtru i dekoracyi, że nawet mundur sokolski i nazwa „Sokołów" wydały mu się grzechem narodowym.

Oto słowa jego:

„Do dziś Niemcy turnerzy, pomni pochodzenia nazwy gimnastyków i praktyczności, rozbierają się raczej do tych ćwiczeń cielesnych i pozostają w drelichowych spodniach i takimż spencerku. My bachutamy się w mundur kompletny z dodatkiem długich i ciężkich butów. Oni nazywają się z rzeczy T u r n e r, my musimy latać zaraz po powietrzu i jużci z nas S o k o ł y.

Bez fantazyi i przesady już nam ani rusz z miejsca. Oj! czas, czas na ziemię!"

Gdyby pan D. zamiast rezonować o „Sokołach" raczył przystąpić do dzielnej korporacyi lub chociaż powierzchownie rozpatrzył się w jej działalności, to dowiedziałby się, że żaden Sokół do ćwiczeń nie używa munduru, lecz na wzór niemieckich turnerów ubiera się w obcisłe spodnie, pantofle i koszulę bez rękawów. Mundur służy jedynie do parady, a nie jest bynajmniej inwencyą polską, lecz strojem zapożyczonym u Czechów, którzy mimo swej praktyczności i „chodzenia po ziemi" zrozumieli jednak, że mundur posłuży idei demokratycznego zrównania i że taka jednolita dekoracya potęguje ów „Corpsgeist", którego brak nieraz dotkliwie uczuć się daje w innych towarzystwach polskich. Moglibyśmy przytoczyć jeszcze więcej motywów uzasadniających racyę bytu mundurów sokolskich, — dla braku miejsca jednak odsyłamy pana D. do roczników „Przewodnika gimnastycznego", z których zaczerpnąć może wiele ciekawych informacyi o posłannictwie „Sokołów". Nadmieniamy tylko, że nazwa naszych gimnastycznych towarzystw jest również pochodzenia czeskiego i nie rozumiemy zaiste dla czego pana D. nie razi „górnolotność" innych korporacyi, mieniących się „Stellą" lub „Jutrzenką", a natomiast irytuje tytuł „Sokołów". Nam się wydaje, że „Sokół" skromniejszym jest od „Gwiazdy" lub „Jutrzenki". Zresztą zwracamy panu D. uwagę i na to, że zamiłowanie w dekoracyach jest u Niemców również rozwiniętem jak u nas. Niechaj się tylko przypatrzy niemieckim związkom strzeleckim lub studenckim. Kto pragnie oddziałać na tłumy szerokie, kto dla jakiejkolwiek idei chce zdobyć popularność, ten „dekoracyi" jako środka pomocniczego wyrzekać się nie może. *Exemplum:* Praktyki kościoła katoliskiego i armii zbawienia.

* * *

Nowa klasyfikacya języków.

Dziwne rzeczy można czasami spotkać, przeglądając rubrykę „Odpowiedzi redakcyi" niektórych pism polskich. Tak n. p. w „Wędrowcu" mieści się następująca bardzo oryginalna odpowiedź: „Języka serbsko-chorwackiego nie ma na świecie, są to bowiem dwa różne języki, rządzące się oddzielnemi prawidłami, a nawet różnym alfabetem". Dowiadujemy się tu o całkiem nowej zasadzie klasyfikacyi języków, o klasyfikacyi na podstawie odmienności alfabetów. Jednakże nie wszystko to dobre, co nowe, więc i nowowynaleziona zasada filologiczna „Wędrowca" nie na dużo się przyda, ponieważ, stosując tę zasadę, można naprzykład dowieść, że jeden uczony niemiecki, wydający swe dzieło gotykiem i drugi piszący artykuły alfabetem łacińskim, posługują się dwoma odrębnemi językami. Gdyby się redakcya „Wędrowca" nie sadziła na wynajdywanie nowych klasyfikacyi filologicznych, ale zajrzała do pierwszego lepszego podręcznika elementarnego, wówczas i sama i jej ciekawy rzeczy słowiańskich czytelnik dowiedziałby się, że język serbsko-chorwacki istnieje, że posługują się nim w literaturze zarówno Serbowie, jako też i Chorwaci, Dalmatyńcy, Czarnogórcy, Bośniacy i inne drobne szczepy południowosłowiańskie, których gwary miejscowe tyle nie wiele różnią się pomiędzy sobą, jak mowa chłopa sandomierskiego od mowy wieśniaka z pod Inowrocławia.

* * *

Taternicy-blagierzy.

Ruch w Zakopanem ożywił się znacznie od czasu jesieni — pisze w „Słowie" Tetmajer — zimowi goście zjechali, sanki dzwonią i śmigają po gościńcach, ludzie spacerują całemi gromadkami. Nie słyszałem jednak, żeby się kto w góry puszczał. Wogóle u nas zimowe turystotostwo jest zupełnie nierozwinięte. Czasem ktoś gdzieś pójdzie: do Czarnego Stawu lub Morskiego Oka i robi awanturę, trąbi po gazetach, a znajomych swoich zanudza trzynaście wieczorów z rzędu. Tymczasem te Achillesy może nie wiedzą, że pewien oficer pruski — jeżeli mnie pamięć nie myli, z Westfalii — kilka lat temu wyszedł w lutym na przełęcz międzyguszcwiecką (ową, która dała tytuł dziełu Witkiewicza) i na trzeci z rzędu szczyt w Tatrach, Lodowy. Prowadził go Horwary, przewodnik ze Szmeksu. Związani byli liną, a oficer był tak silny, że, kiedy się Horwary obsunął na przełęczy, okręcił sobie linę około dłoni i dźwignął dużego i tęgiego chłopa ze śniegu ku sobie. Szkoda, że mi wyleciało z pamięci nazwisko tego naprawdę dzielnego turysty. Przykro to przyznać, ale my, polacy, dajemy się zawstydzać obcym; niema u nas nikogo, coby tak, jak profesor Danysz z Lewoczy, z węzełkiem w ręku, sam, jak palec, wędrował, nawet bez kija, na Gerlach albo Łomnicę. U nas, jeżeli kto ma iść na Gerlach w sobotę 10 sierpnia, to już w niedzielę 4 sierpnia na reunionie, kiedy go do mazura wybiorą, odpowiada: „Przepraszam panią, nie tańczę, bo w sobotę idę na „Gerlach" (ale wysunąć się nie omieszka, żeby go musiano wybierać). Tymczasem pewien sas machnął na ten szczyt sam jeden, pierwszy raz Tatry widząc. Przypuszczam za to, że w gracyi, z jaką nasi „turyści" zrywają dla dam swego serca „szarotki"... półtora łokcia nad ziemią, żaden obcy naród im nie wyrówna.

* * *

„Iluzya".

Władysław był poważnym człowiekiem, lecz już zawiedzionym w miłości. Zosia — osiemnastoletniem dziewczęciem. On chciał się przecież ożenić i mieć spokój przy kobiecie, która nie byłaby „szampańskiem winem, wysadzającem korki, ale bawarką letnią, choćby nawet mdłą nieco"; ona — wyszłaby za mąż. Ze zaś jego ciocia obchodziła imieniny balem, umyślnie dla nich przygotowanym, więc się na nim spotkali raz, na innym balu spotkali się drugi raz i... rozeszli. Dla błahej przyczyny!... Jej piękny biust okrywała gaza, na Żabiej „iluzyą" zwana, którą wciąż podciągała do góry, a jemu się zdawało, że ona czyni to umyślnie, by zwrócić na biust swój uwagę młodzieży. Rozeszli się, ale i spotkali kiedyś później: ona była już żoną i matką, wyszedłszy za jakiegoś poczciwca, on — jeszcze starym kawalerem. Przypomnieli sobie stare dzieje, swoje poznanie, swoje rozejście się i dowiedzieli się, iż nie byli sobie wzajem obojętni, „awantura" zaś z „iluzyą" była prostym wynikiem dziewiczego wstydu, wywołanego pierwszym w życiu decoltém. Tableau. Dwieście stronnic takiej „historyi" wykwintnie wydanej, a przez p. E. Lindemana zilustrowanej udatnie i smacznie, napisała p. Zofia Kowerska stylem mieniącym się, salonowym i nazwała to... „Iluzyą". Damę każdą w buduarze zajmie ta „iluzya" naprawdę, bo to konfekcya damska, krytyk zaś, złożywszy książkę, wyrzeknie z żalem:

— Ładne to, ale nie trwałe...

* * *

Poezya ekonomska.

Nie wiele zapewne z czytelników „Przeglądu" zna pismo warszawskie p. t. „Kuryer rolniczy". Jest to tygodnik „dla gospodarzy wiejskich", ma się rozumieć, *minorum gentium* i dla oficyalistów. Oprócz artykułów specyalnych, „Kuryer" zamieszcza kronikę społeczną, będącą ciekawym okazem kopalnej ekonomszczyzny. Oto mała próbka:

Jeden z oficyalistów hr. Z., „dziedzica obszernych włości na Nadbużu" znakomitego gospodarza i administratora, napisał na cześć swego pana taką odę:

Swoich lasów nie zniszczył.
Setki włók d o b a w i ł.
Żeby jemu Pan Bóg stokroć błogosławił.
Tak mu życzy zwierzę, tak śpiewają ptaki,
Życzy mu źle c z e r n i a, ale to b y d l a k i!
Byk bykiem zostanie, stratowawszy łąki,
O przyszłości nie myśli, ani o potomki.

„Dobre chęci staną za uczynek" — sentencyonalnie wyrokuje „Kuryer", przytoczywszy tę ohydną bazgraninę.

* * *

Rozmowa z Röntgenem.

Prof. Röntgen jest stanowczym przeciwnikiem wszelkich interview'ów i podczas pobytu swego w Berlinie wydał portierowi hotelu „Kaiserhof" rozkaz nie przyjmowania żadnego dziennikarza. Mimo to udało się berlińskiemu korespondentowi medyolańskiego „Secolo", p. Dalbelli, oraz pewnemu dziennikarzowi francuzkiemu, dostać się do głośnego dziś profesora, a p. Dalbelli, opisując tę wizytę, stwierdza przedewszystkiem, iż Röntgen bynajmniej nie był nią zachwycony. „Miałem z dziennikami tyle do czynienia — powtarzał otwarcie — że przyszedłem do przekonania, iż prasa codzienna nie jest bynajmniej odpowiednim środkiem do poważnego rozpowszechniania odkryć naukowych. Co się mnie tyczy, ograniczam się teraz do przesyłania uczonym zagranicznym bezpośrednich wiadomości i do ogłaszania ich w pismach fachowych, z któremi mam osobiste stosunki. Wszystko, co prasa codzienna doniosła o mojem odkryciu, jest zbiorem błędów i niedokładności. Przedewszystkiem pozwól sobie pan powiedzieć, że doświadczenia moje są skończone, a rezultaty ich ostateczne. Nie byłbym mógł się przedstawić cesarzowi, gdyby wyniki moje nie były pozytywne i naukowo najzupełniej uzasadnione". „Profesor Röntgen mówił to wszystko najnaturalniejszym tonem w świecie i bez wszelkiej pozy", dodaje p. Dalbelli, poczem opisuje dokładnie odkrycie Röntgena.

* * *

Mniemany „owczarz".

Jeden z zakordonowych humorystów napisał „żarcik" tej treści: pod Warszawą pojawił się cudowny lekarz w osobie człowieka z gminu, do którego nie wierzący w lekarzy pędzili po radę, hojnie nagradzając jego cudowność. Wdała się w to władza i okazało się, iż ów mniemany człowiek z gminu skończył wydział medyczny i posiada dyplom lekarski. Kiedy go pytano, w jakim celu urządzał mistyfikacyę, odpowiedział, iż gdyby wiedziano, że jest lekarzem, nie miałby i piątej części pacyentów, a co za tem idzie i dochodów.

Prawie wszystkie pisma powtórzyły ten „żarcik", czy satyrę dla zabawy czytelników. Tymczasem to, co powstało w głowie humorysty, niedawno istniało w rzeczywistości. Warszawianie dobrze powinni pamiętać, jak przed laty trzydziestu zamieszkał na ulicy, zdaje nam się Pańskiej, niejaki G., „owczarz", któremu drzwiami i oknami płynęły pieniądze. Jak u najsławniejszych lekarzy trzeba było parę dni chodzić, zanim się doczekało wywołania swego „numeru", dozwalającego pacyentowi stanąć przed obliczem cudownego lekarza. I okazało się właśnie to, co sobie wymyślił obecnie humorysta: mniemany „owczarz" był dyplomowanym lekarzem.

Widać z tego, że naiwność ludzka jest tak wielką, że dorównywa najśmielszym fantazyom humorystów.

KRONIKA LITERACKA.

— „Ateneum“. — Sierpień, wrzesień i listopad 1895. W artykułach p. t. „Narodziny poety-romantyka“ (sierpień i wrzesień) dał nam Z. Wasilewski w dalszym ciągu rezultaty swych studyów nad Goszczyńskim (por. „biblioteka warszawska“ 1895-marzec), obejmując w omawianej pracy pierwsze 18 lat życia poety.

„Od Unny po Adrjatyk“ W. Szukiewicza to notatki z podróży autora po Bośnii i Hercogowinie.

Dr. Anna Wyczółkowska, zasilająca od czasu do czasu karty „Ateneum“ pracami z dziedziny psychofizyologii, w artykule „O zmyśle statystycznym“ zaznajamia czytelników w sposób popularny z teoryą Flourensa, na mocy której ucho jest organem nie jednego, lecz dwu różnych zmysłów: słuchu i zmysłu statycznego czyli zmysłu równowagi.

Dwie króciutkie nowelki, a raczej szkice: „Zosia w Sorbonie“ (październik) i „Zamki na lodzie“ (sierpień) osnute są na tle dążeń kobiecych do wyższego wykształcenia, ogarniających coraz szersze masy kobiet. „Zosia w Sorbonie“ daje kilka bezpretensyonalnych i prawdziwych scen z życia studentki paryzkiej. „Zamki na lodzie“, to właściwie sympatyczna tyrada przeciw dążeniu kobiet do wyższego wykształcenia, o ile wypływa ono z pobudek: karyery, wygórowanej ambicyi itp. Autorka pragnie, aby naukowym aspiracyom kobiet przyświecała myśl służby publicznej, a zwłaszcza pracy przyszłych lekarek, kobiet-prawników itp. wśród ludu wiejskiego, — myśl niewątpliwie zacna i rozumna.

„Tomek baran“ Wł. Reymonta, szkic na szersze zakrojony rozmiary, obraca się w kole stosunków chłopskich i wraz z powieścią Sewera „Biedronie“, którą również w r. 1894 drukowało „Ateneum“, prosi pp. krytyków literackich o odrobinę uwagi w imię interesów ogólniejszych, jako to: rosnącego ruchu ludowego i towarzyszących mu przeobrażeń w poglądach i ideałach naszej inteligencyi.

W październikowym zeszycie zaczyna Wł. M. Kozłowski obszerne studyum p. t. „Manfred, hr. Henryk i Płoszowski“ już samym swym tytułem budzące ciekawość czytelnika. Autor zalicza powyższe typy do typów ogólno-ludzkich, bo „każdy z nich odbija w sobie pewną stronę natury naszej“, każdy jest odzwierciedleniem owej „czystej treści człowieka“, która zostaje niezmienną wśród przemian ukształtowania zewnętrznego, żywiołem trwałym, ponad którym znamiona czasu przebiegają, jak fale, które toczą się na powierzchni Oceanu, nie mącąc jego głębi. Ale po za tą stroną trwałą charakteru — pisze p. K. — postaci poetyckie mają jeszcze inne znaczenie: Każda epoka ma swój typ przeważny. Aby typ wieczny nie pozostał czystą abstrakcyą, aby idea wcieliła się w postać żywą, niby z krwi i ciała urobioną, powinna przybrać piętno pewnej epoki i pewnego miejsca, zostać historycznie i geograficznie określoną... Każda więc większa postać poetycka jest dwoistą. Estetyka — psychologa zajmuje przeważnie pierwsza, wieczna i ogólnie ludzka strona tych postaci; historyk, filozof, śledzący rodowód dziejowy pewnego typu, powinien skupić uwagę na cechach, które dla psychologa są podrzędnemi i przypadkowemi. Temi ogólnemi uwagami poprzedza autor analizę i porównanie tych trzech postaci, jako typowych przedstawicieli pokoleń naszego stulecia. będących przytem przedstawicielami tego, co Schiller nazwał szlachectwem ducha, a co w wieku Płoszowskiego przybiera postać „arystokracyi ducha“.

* * *

* **Prof. Heinrich von Struve.** Die polnische Literatur zur Geschichte der Philosophie. Berlin 1895.

Pod powyższym tytułem wydrukował znany profesor warszawskiego uniwersytetu w wychodzącym pod redakcyą prof. Sterna, „Archiv f. Gesch. d. Philosophie,“ i obecnie wydał osobno, rozprawę, bez której nie będzie się mógł obejść w przyszłości żaden z piszących o dziejach nauk w Polsce. Rozprawę swoją (o 82 str.) podzielił autor na dwie części; w pierwszej wymienia bibliograficznie i w krótkości charakteryzuje, co społeczeństwo polskie wytworzyło na polu filozofii własnej, w drugiej zaś notuje to, co przeniesiono na grunt polski z zakresu filozofii powszechnej i jej historyi. Jak to przyjęte na uniwersytetach niemieckich, traktuje autor nasamprzód w każdym dziale dzieje filozofii w całości, potem poszczególne jej okresy i działy (logikę, etykę i t. d.) Oczywiście ogrom zadania, do którego dotąd poprzednicy małe zaledwie przygotowali początki, nie pozwolił prof. Struvemu poznać całej dotyczącej literatury; pod względem bibliograficznym jest więc sporo braków. Na sam sąd profesora o pewnych kierunkach i dziełach też nie zawsze można się zgodzić; praca jego jest mimo to gotowym prawie i uporządkowanym składem materyałów, z którego historyk naszej myśli filozoficznej może czerpać, a któregośmy dotąd nie posiadali.

BŁĘDY JĘZYKOWE.

— Nadużywamy wyrażenia *o ile;* niepotrzebne tu *o* śmiało można opuszczać, więc zamiast „nie wiem, *o ile* tamten jest lepszym“ — nie wiem *ile* tamten itd. A już *na ile* i *na tyle* są czystemi barbaryzmami.

Kronika powszechna.

Wiadomości polityczne i społeczne. Ceremonia prawosławnego chrztu ks. Borysa odbyła się 15 bm. w Zofii przy ogromnym udziale publiczności i dyplomatów zagranicznych. — Sprawa obchodu 25-letniej rocznicy istnienia parlamentu niemieckiego stanowi dotychczas kwestyę sporną między poszczególnemi stronnictwami. Centrum i frakcya wolnomyślna sprzeciwiają się stanowczo zaproszeniu ks. Bismarcka na obchód jubileuszowy. Wobec tego wątpliwem jest wogóle, czy uroczystość przyjdzie do skutku. — W Gnieźnie odbędzie się w roku bieżącym wystawa przedmiotów dla potrzeb restauracyjnych, domowych i artykułów spożywczych ludowych. — Wychodźtwo zamorskie z Niemczech zmniejsza się coraz więcej. Według urzędowej statystyki wyemigrowało w miesiącu styczniu:

	w r. 1895	w r. 1894
na	osób	osób
Bremenę	391	558
Hamburg	531	579
Razem przez porty niemieckie	922	1137
Antwerpią	120	167
Rotterdam	45	26
Ogółem	1097	1330

Na Hamburg i Bremenę wyemigrowało nadto w styczniu r. b. 3684 obcych poddanych.

Teatr i muzyka. W czwartek ubiegły odegrano na scenie poznańskiej czteroaktowy utwór Paillerona p. t. „Komedyanci“. Szczegółową ocenę zamieścimy w numerze najbliższym. Tu nadmieniamy tylko, że grą artystyczną wyróżniali się panowie Wostrowski i Łaski. — Gabryela Zapolska wykończa utwór dramatyczny pod tyt. Żabusia“. — Zygmunt Noskowski skomponował większych rozmiarów utwór symfoniczny p. t. „Step“. — Nowy dramat Heyssego p. t. „Vanina Vanini“ nie zyskał powodzenia w teatrze Meiningeńskim. Carmen Sylva napisała dramat p. t. „Allvanda“. — Verdiego dramat „Lwica“ przyjęto z uznaniem w Turynie. — W zarządzie teatru lwowskiego zanosi się na poważne zmiany. Przy sterze dyrekcyjnym stanie obok p. Przybylskiego pan Glikson, były dyrektor teatru krakowskiego. Oprócz tego prawdopodobnem jest, że opera zostanie zamkniętą. — O tryumfach petersburskich Sembrich-Kochańskiej donosi „Kraj“ następujące szczegóły: „P. Marcela Sembrich na swym benefisie stała się przedmiotem niesłychanych owacyi ze strony licznie zgromadzonych słuchaczów. Po wykonaniu sceny waryacyi, zapał publiczności nie miał granic: ofiarowano znakomitej artystce całą oranżeryę kwiatów, artystycznie rzeźbioną wazę srebrną, lirę, otoczoną srebrnym wieńcem laurowym etc. Po skończeniu przedstawienia, owacye wznowiły się z nową siłą, zmuszając beneficyantkę do odśpiewania paru romansów, a między innemi szopenowskiego „Gdybym ja była...“. W sprawozdaniach o tem wyjątkowo świetnem przedstawieniu wszystkie dzienniki, bez wyjątku, podziwiały artyzm, doprowadzony do szczytu doskonałości, i czarodziejski głos znakomitej śpiewaczki. Amatorowie klasycznej muzyki mieli okazyę w tym tygodniu posłyszeć mozartowskie „Wesele Figara“, wybornie wykonane. Nieporównana Sembrich stworzyła typ filuternej Zuzanny, pełny werwy i gracyi. O śpiewie niema co i mówić, gdyż p. Sembrich uznana jest za najznakomitszą wykonawczynię utworów klasycznych, szczególnie Mozarta“. — Józef Hofman, przed wyjazdem do Moskwy, gdzie w tryumfie jest w tej chwili przyjmowany, ogłosił w pismach petersburskich list, prostujący niedorzeczny wymysł „Mosk. Listka“, który podał wiadomość, jakoby firma „Herman i Grosman“ zatrzymywała dla siebie dwie trzecie dochodu z koncertów młodego artysty, wyzyskując go na swą korzyść. „Firma pomieniona — kończy Hofman — od lat wielu powszechnego używa szacunku i bynajmniej nie szuka zysków z urządzania artystom koncertów. Co do mnie, użyczywszy mi każdorazowo do koncertów fortepianu Bechsteina, bezinteresownie podejmowała się urządzenia takowych i rozprzedaży biletów wejścia, za co serdeczne jej składam dzieki“. Hofman jest jeszcze spodziewany w Petersburgu w połowie lutego, a następnie jedzie w podróż artystyczną po Rosyi. — W najbliższą niedzielę odbędzie się na sali hotelu Berlińskiego w Poznaniu wieczór humorystyczny p. W. Wróblewskiego z udziałem p. W. Kicińskiego. — Teatr Wielki w Warszawie przygotowuje balet p. t. „Szuler“. — W Paryżu, w sali Erarda, koncertowała z powodzeniem p. Jadwiga z Iwanowskich Zaleska. — Verdi pracuje nad muzyką do Szekspirowskiej „Burzy“. — W Barcelonie doznała świetnego powodzenia opera Albeniza p. t. „Pepita Jimenez“. — O warszawskim koncercie Śliwińskiego tak pisze Maryan Gawalewicz w „Kraju“ petersburskim: „Sliwiński podbija bezwiednym czarem poezyi, tym jakimś wrodzonym instynktem piękna, którego może nie potrafiłby sam określić słowami, a który w muzyce staje się jakby natchnieniem; nie rozumuje, nie rozbiera, nie filozofuje w interpretacyi, ale zdaje się tylko odczuwać intencye, styl, charakter danych kompozytorów, przedziwnie zabarwia ich utwory, nadając im zawsze najwłaściwszy koloryt i najefektowniejszy światłocień. Jeżeli Hofmann w swoim wirtuozowstwie jest rzeźbiarzem cyzelatorem mistrzowskim, to Sliwiński jest w tym samym zakresie malarzem i kolorystą par excellence. Pierwszego nazwałbym Thorwaldsenem, drugiego Mackartem współczesnych pianistów“.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

K—ski. Życzeniu Pańskiemu stało się zadość. Bliższe szczegóły o wyprawie Nansena znajdzie Pan w dzisiejszym numerze.

Zofia M. „Salle“ jest wyrazem należącym do paryzkiego żargonu (Argot) i oznacza tyle co „enfant“.

Spirytystka. Adresu p. Matuszewskiego nie znamy. Niech pani jednak raczy swój list przesłać do redakcyi „Przeglądu Tygodniowego“ (Warszawa, Ul. Czysta Nr. 4), a niewątpliwie dojdzie on do rąk „ulubionego mediumisty“.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.